Cena 1 złoty. W Czechosłowacji 3·50 Kc. Nal. poczt. opł. rycz. Numer zawiera 24 stron.

ŚWIATOWID

Nr. 10 (343) 7 marca 1931 Rok VIII

Z OSTATNICH WYCIECZEK NARCIARSKICH.



Ma się już ku przedwiośniu, to też zwolennicy zimowych sportów powoli żegnają się ze śniegiem i górami. Na zdjęciu świetna taterniczka i narciarka p. Jadwiga Grotowska z Warszawy, w rozmowie ze starym góralem w Wiśle na Śląsku.

Ag. Fot. „Światowid" fot. Stachowicz.



Instruktor z przedniej gondoli wielkiego samolotu typu „Goliath" patrzy na skrzydło, na którym stoi uczeń, mający skoczyć ze spadochronem. Skoczy na sygnał instruktora.

TWARZĄ w PRZEPAŚĆ

SKOKI ZE SPADOCHRONAMI.

Mimo jaknajdalej idących udoskonaleń technicznych w lotnictwie, oraz najbardziej skrajnych ostrożności — zawsze mogą się zdarzyć niespodziewane wypadki w powietrzu, na skutek których nie można już lądować. — Jedynym ratunkiem pozostaje skok, opuszczenie maszyny, pozostawienie samolotu własnemu losowi.

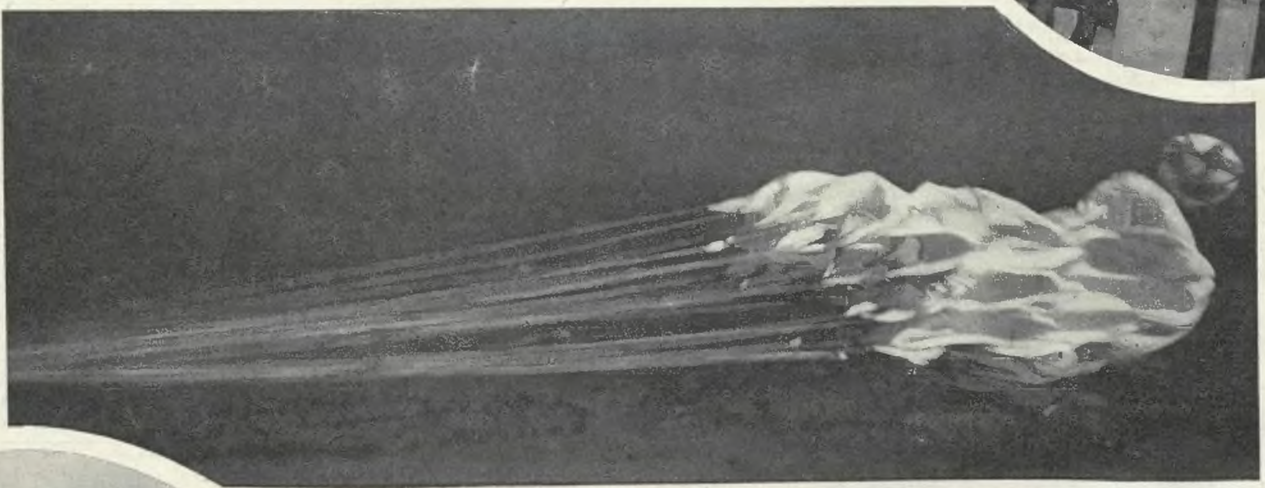
Obecnie rozwoju lotnictwa nie można sobie wyobrażać bez udoskonalenia spadochronu, a już specjalnie rozkwitu lotnictwa komunikacyjnego. Dewizą wszelkiej komunikacji regularnej jest hasło „safety first" przedewszystkiem bezpieczeństwo. Bez tego hasła niema komunikacji, niema możności gospodarczego wykorzystania jakiegoś środka lokomocji.

Spadochron jest aniołem stróżem lotnika wojskowego i sportowego, jego niedstępnym towarzyszem w czasie lotów, a p r z e d m i o t e m bezustannych trosk i starań przy „ziemskich" zajęciach.

Spadochron nie jest nowym wynalazkiem. — W historji średniowiecza i późniejszej mamy częste wzmianki o ludziach, którzy skakali z rozmaitych wież, z skał, z wysokich budynków „na półkuli z płótna". Niezawsze jednak z powodzeniem. Bądź co bądź może to śmiesznie wygląda, ale niemniej zupełnie nie zmienia postaci rzeczy — jeszcze 40 lat temu ludzie zupełnie nie orjentowali się, co to jest powietrze i jakie są jego własności. Znali skład chemiczny powietrza, domyślali się niektórych praw meteorologicznych, ale np. o aerodynamice, najmniejszego pojęcia nie mieli. Domyślał się praw niektórych Leonardo da Vinci, a po nim dopiero Lilienthal w ostatnich latach naszego stulecia zaczął



Oto decydująca chwila. — Lotnik puścił się uchwytów i rzuca się w przepaść.
Keystone — London.



O b o k: Szarpnięte zdecydowanym ruchem kółko uwolniło spadochron z futerału. Silnie porwie lotnika, by go później całego i nienaruszonego, opuścić łagodnie na ziemię. Na zdjęciu widać wyraźnie mały, pomocniczy spadochronik, którego zadaniem jest wyciągnąć i rozwinąć właściwy spadochron.

prowadzić właściwe studja nad możliwością latania, a tem samem musiał zainteresować się powietrzem i jego właciwościami, jako elementem, który pragnął podbić. Wczesna śmierć nie stanęła na przeszkodzie kontynuowaniu niezwykle ciekawych prac jego przez innych uczonych. Lilienthala śmiało można nazwać ojcem latania.

Nowoczesny spadochron jest, w jego obecnej formie, dziełem wielkiej wojny. Pod koniec roku 1917 zaczęto wszystkich lotników uzbrajać w spadochrony. — Zestrzelony płatowiec prawie zawsze spadał w płomieniach, a nieraz żywa i przytomna osada, nie mogąc z braku spadochronów wyskoczyć, smażyła się w piekielnej temperaturze płonącej benzyny, podsycanej prądem powietrza. Spadochron był prawdziwem błogosławieństwem lotnika. Spadochron był jedynym i obowiązkowym ratunkiem obsady balonów na uwięzi w razie ataku samolotów.

Dziś jest w dalszym ciągu jego najlepszym towarzyszem we wszystkich wycieczkach. — Obecnie najpopularniejszymi spadochronami są spadochrony systemu Irwin, fabrykowane także i w Polsce w Wytwórni Państwowej Spadochronów w Jabłonnie pod Warszawą. Należą do spadochronów otwierających się dopiero na interwencję posiadacza. Rozróżniamy bowiem typy spadochronów otwierających się automatycznie — w chwili skoku, półautomatycznie — dzięki specjalnemu urządzeniu umieszczonemu na przyrządzie latającym, po opuszczeniu przez załogę kabiny samolotu, czy balonu, wreszcie ów o którym powyżej wspomniałem — otwierających się na życzenie skaczącego. Samoloty Irwin są wynalazkiem amerykańskim, niezwykle praktycznym — bo nieskomplikowanym — a co ważniejsza — nigdy nie zawodzącym, o ile tylko opieka nad tym spadochronem była dostatecznie troskliwą a spadochron był w przepisanym czasie przewijany, kontrolowany i odpowiednio złożony do futerału, w którym się znajduje na właścicielu.

Lotnik nosi spadochron: albo na plecach, albo przymocowuje go na kolanach, albo też siedzi na nim. Są to spadochrony: plecowe, kolanowe lub siedzeniowe. Są także, jak już wspominałem, spadochrony umieszczone wewnątrz lub też nazewnątrz kabiny, do nich jest lotnik stale przyczepiony, kiedy skacze, wypadają z nim razem chroniąc go potem od skutków upadku. Takich spadochronów używa się tylko w balonach wolnych lub na uwięzi.

Sam skok ze spadochronem nie jest pozbawiony niebezpieczeństwa, głównie — skok ze samolotu. Abstrahując już od istniejącej kwestji ryzyka, czy spadochron się otworzy, czy też nie, trzeba wyskoczyć w ten sposób, by nie zostać uderzonym przez samolot, przedewszystkiem zaś trzeba wogóle wyskoczyć, co jest bardzo trudne ze względu na mały otwór kabiny i pęd powietrza. Znane są bowiem wypadki, że lotnik nie mógł wyskoczyć z powodu ciśnienia powietrza, lub takie, w których lotnik wyskakując nie dość ostrożnie, uderzony przez skrzydło samolotu, tracił przytomność i otwierał spadochron już zapóźno.

W lotnictwie komunikacyjnym polskim pasażerowie nie potrzebują spadochronów, gdyż możliwość katastrofy, w którejby opuszczenie maszyny stawało się koniecznością — jest prawie zupełnie wykluczona. Zagranicą są obecnie w toku prace, by jeszcze zwiększyć, że się tak wyrażę pewność pewności, nad spadochronem, któryby w razie wypadku doprowadził cały samolot wraz z załogą czy pasażerami bezpiecznie do ziemi, by uniknąć denerwującej konieczności skoków indywidualnych. E. Hardt.



Lotniczka z berlińskiej szkoły pilotów raduje się — bo skok udał się.
Keystone — London.

BUKIET OSOBLIWOŚCI

Poniżej:

Czyżby maskarada? Nie, to nie maskarada, tylko oryginalna fotografja z 1890 roku, przedstawiająca dziewczęta z pensjonatu. Noszą one zgodne z ówczesną modą długie i ciężkie suknie, ogromne kapelusze, no i nieodłączne sznurówki. Jak to dobrze, że odbiegliśmy już od tych dawnych, a niezawsze dobrych czasów.

Pacific et Atlantic, Berlin.





Królewski wóz. To trochę groteskowe auto, stanowiło ongiś własność króla angielskiego Edwarda VII. Dzisiaj zaś wzbudzało swoim staroświeckim wyglądem żywiołowy śmiech wśród publiczności, zgromadzonej na ulicach Londynu, z okazji maskarady na rzecz tamtejszych szpitali. Zdj. Sport et General, London.

Poniżej:

Polowanie na białe niedźwiedzie. U Eskimosów, zamieszkujących kraje podbiegunowe, jest zwyczaj, że mężczyzna, starający się o rękę swojej wybranki, musi przyszłemu swojemu teściowi złożyć w darze upolowanego niedźwiedzia. Na zdjęciu oblubienica w otoczeniu myśliwych przy upolowanym niedźwiedziu.





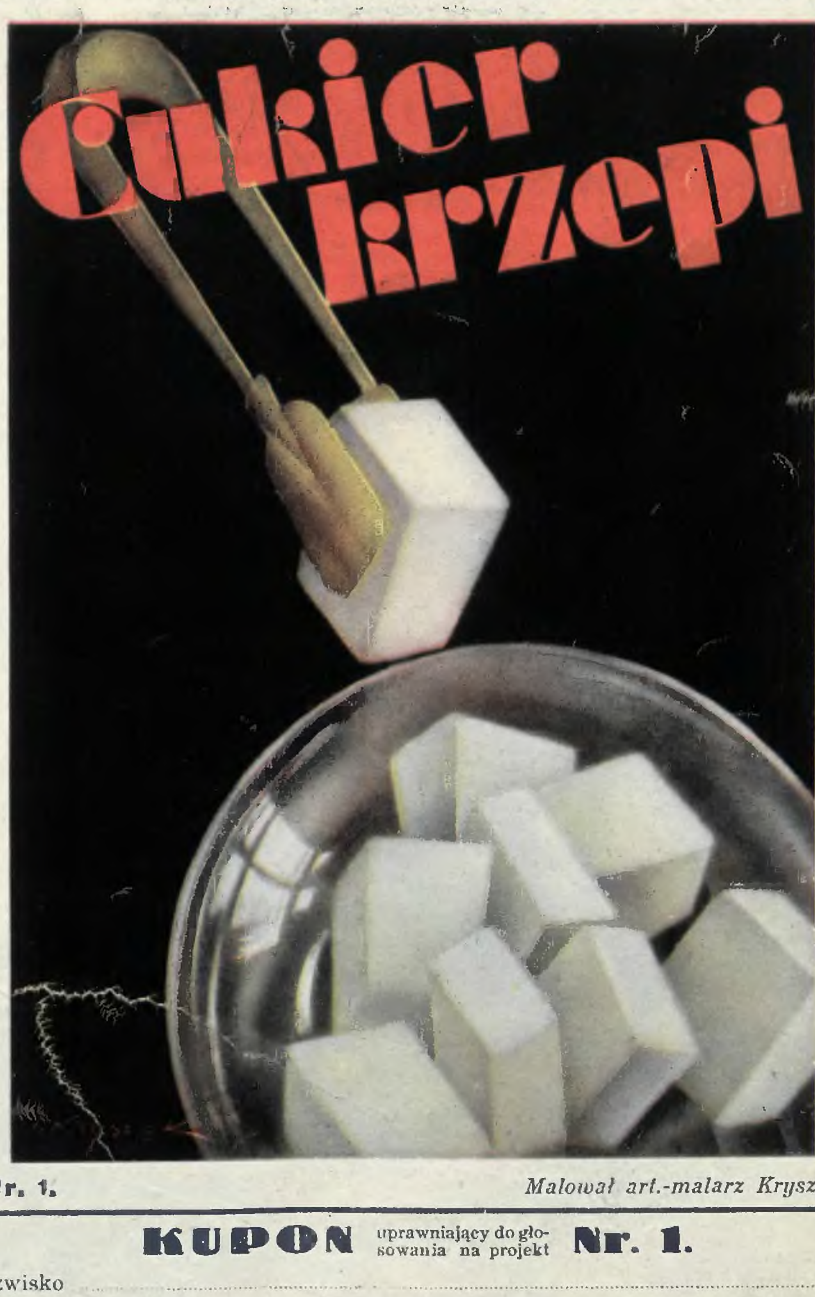
Najcięższe więzienie w Rumunji znajduje się w Doftana i jest przeznaczone dla zbrodniarzy, skazanych na bezterminową karę, lub tych, którzy próbowali ucieczki. Na zdjęciu rewizja więźniów. Pacific et. Atlantic Photo, Berlin.

WIELKI KONKURS

dla Czytelników „Światowida".

Doceniając wielkie znaczenie podjętej przez organizacje społeczne propagandy konsumpcji cukru, „Światowid" ze swej strony ogłasza **konkurs na najlepiej umotywowany sąd o plakacie.**

W 10 kolejnych numerach „Światowida" będziemy reprodukować projekty plakatów. Każdy nadsyłający opinję o projektach otrzyma **bezpłatnie** talję kart rysunku Norblina, z tekstami Porazińskiej, stanowiącą grę dla dzieci, a nadto najlepiej motywowane odpowiedzi otrzymają nagrody: **I. 100 zł., II. 50 zł., i czternaście po 25 zł.**



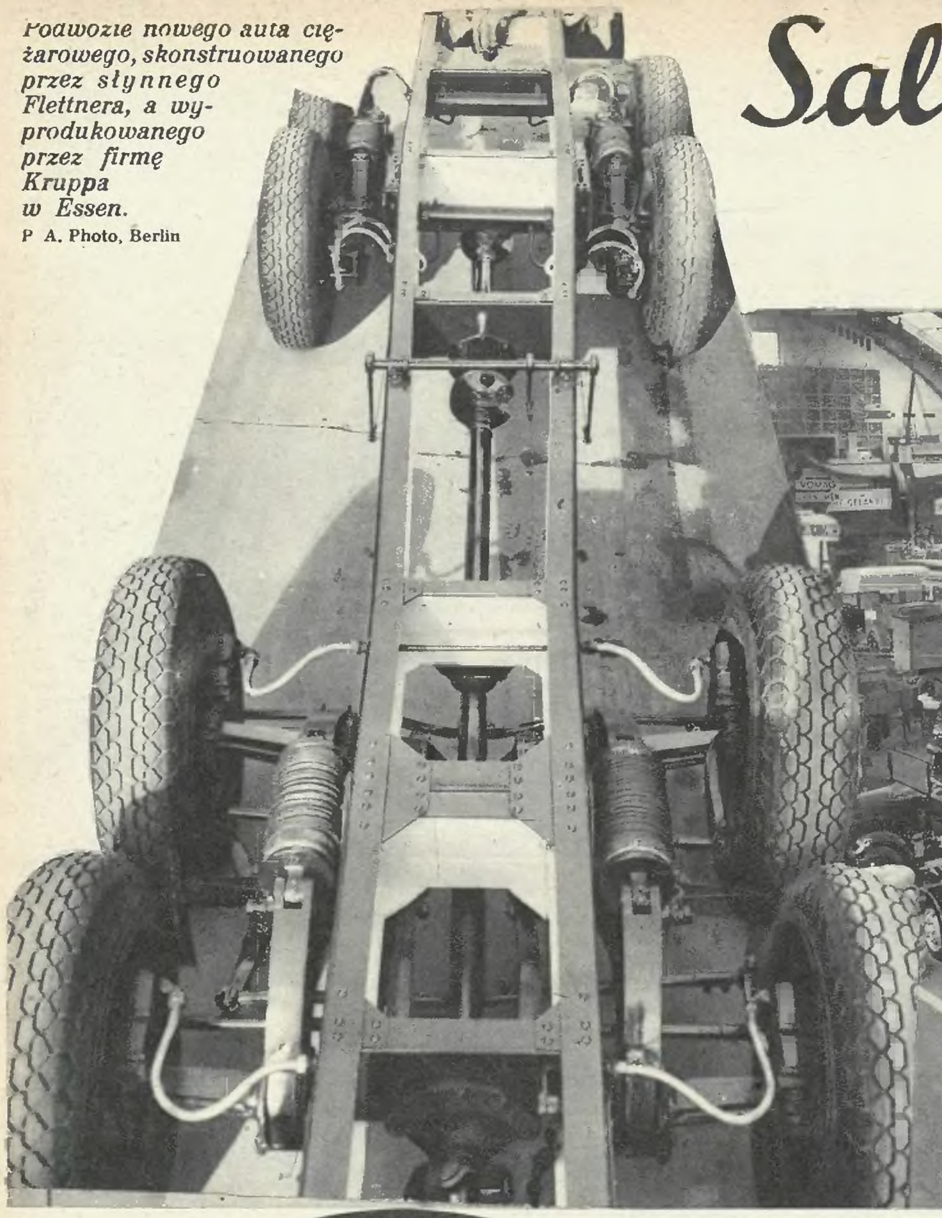
Nr. 1. *Malował art.-malarz Kryszak.*

KUPON uprawniający do głosowania na projekt **Nr. 1.**

Nazwisko ....

Adres ....

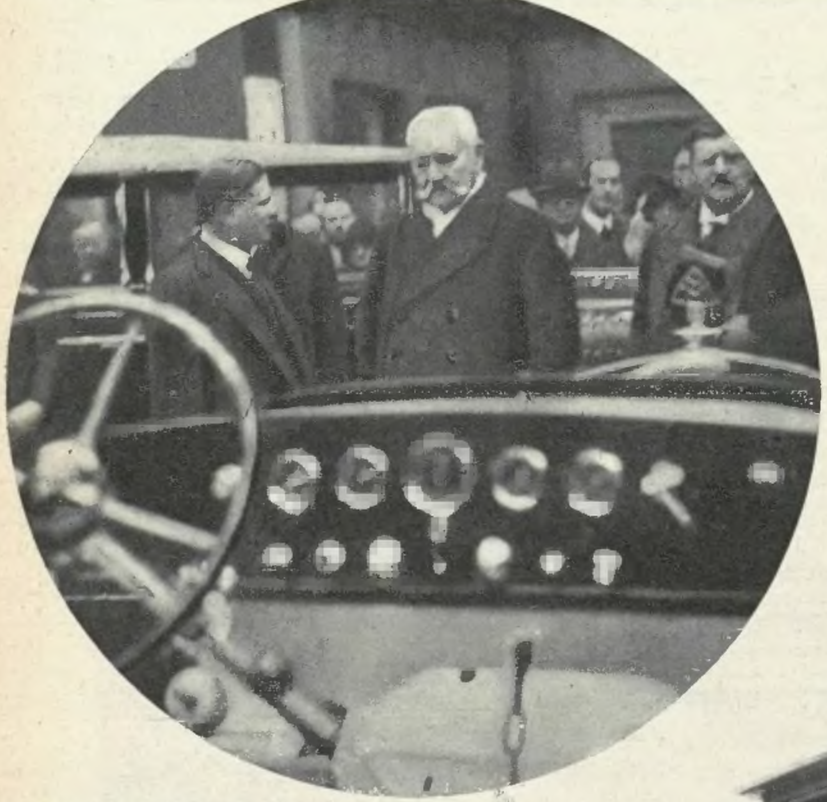
Salon Automobilowy w Berlinie



Podwozie nowego auta ciężarowego, skonstruowanego przez słynnego Flettnera, a wyprodukowanego przez firmę Kruppa w Essen.
P. A. Photo, Berlin



Ogólny widok hali wozów ciężarowych.



Prezydent Rzeszy Niemieckiej v. Hindenburg zwiedza wystawę automobilową.
P. & A. Photo, Berlin.

Salon automobilowy w Berlinie, którego otwarcie nastąpiło przed kilku dniami, jest najpoważniejszą tego rodzaju imprezą w Europie i rozmiarami swojemi przewyższa nawet Salon paryski i londyński. Zgromadził on bowiem w imponującej ilości eksponaty europejskie i amerykańskie i daje najwszechstronniejszy przegląd dorobku na polu automobilizmu w ciągu ubiegłego roku.

Z maszyn niemieckich na pierwsze miejsce wysuwa się 200-konna 12-cylindrowa maszyna Maybach, która kosztuje 75.000 zł. Cena ta jest niską w porównaniu z Rolls-Roycem, najdroższym wozem na wystawie, którego cena wynosi około 150 tysięcy złotych. Daimler-Benz wystąpił z 8-cylindrówką o pojemności 7.6 litr. Również 8-cylindrowy jest Horch i Simson.

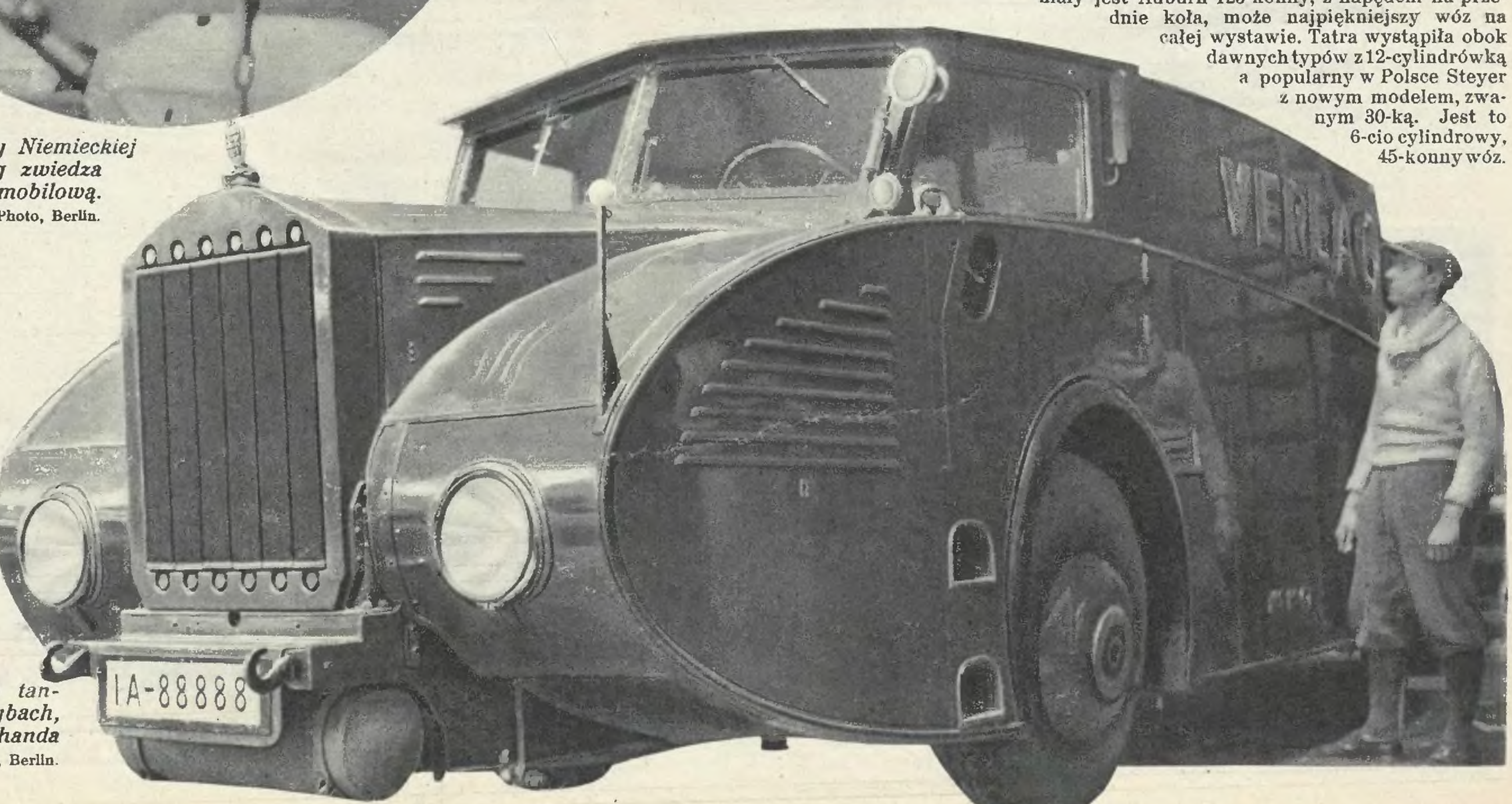
Obok tych luksusowych aut, do których zaliczyć należy także nowego 8-cylindrowego Austro-Daimlera, przepięknie skarosowanego i rasowego w każdym calu, największem zainteresowaniem cieszą się małe popularne wozy, jak n. p. Opel, 20-konny w cenie 5.600 za torpedo a 6.200 zł. za limuzynę.

Jeszcze tańsze są B. M. W., gdyż kosztują tylko od 4.200 do 5.800, a rozwijają szybkość do 70 km. na godzinę i podobno doskonale biorą góry.

Nie brak także trójkołowców, które kalkulują się najtaniej i kosztują tyle, co motocykl. Wyspecjalizowała się w nich firma niemiecka Goliath.

Tak to Niemcy rozumieją, że auto jako nowoczesny środek lokomocji potrzebny dla usprawnienia ruchu, dla obrony kraju i szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce powinno być dostępne dla średnio zamożnego człowieka, gdy tymczasem u nas czyni się wszystko, aby automobilizm zniszczyć. Dowodem tego są nowe niepoczytalne, pomysły obłożenia jeszcze wyższem cłem aut importowanych do Polski, dlatego że w kraju posiadamy dyletancką, etatystyczną wytwórnię, która produkuje kilkadziesiąt marnych i drogich aut na rok.

Z innych aut europejskich najokazalej prezentuje się grupa włoska z Fiatem, a francuska z Citroenem na czele. Wśród tanich aut amerykańskich ciągle jeszcze bezkonkurencyjnym jest Ford, który do swego wozu nie wprowadził żadnych nowych inowacyj. Wśród wozów General-Motors wyróżnia się potężny 16-cylindrowy Cadillac. Wspaniały jest Auburn 125-konny, z napędem na przednie koła, może najpiękniejszy wóz na całej wystawie. Tatra wystąpiła obok dawnych typów z 12-cylindrówką a popularny w Polsce Steyer z nowym modelem, zwanym 30-ką. Jest to 6-cio cylindrowy, 45-konny wóz.



Obok: Oryginalne auto tankowe firmy Maybach, karoserja Luchterhanda
New York-Times, Berlin.

Z KRAJU.



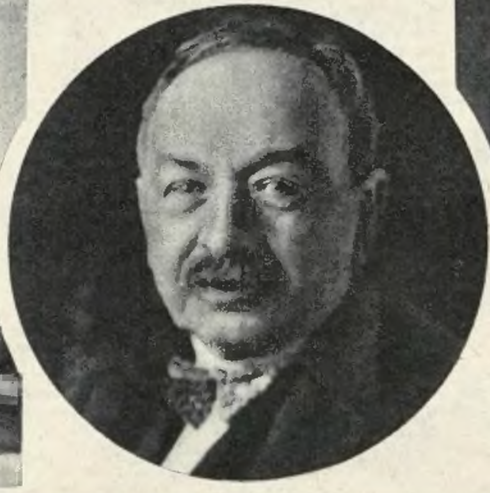
Zawody strzeleckie w Warszawie. *W ubiegłą niedzielę odbyły się w Warszawie na strzelnicy „Legji" zawody strzeleckie nauczycielstwa szkół średnich. Nasze zdjęcie przedstawia jedną z czołowych zawodniczek, p. S. Strzemińską.* Ag. fot. „Światowida"

Poniżej na lewo:

Wystawa Towarzystwa Opieki nad młodzieżą. *Krakowskie Towarzystwo Opieki nad młodzieżą, znane już pod skrótem T. O. M., pozostające pod kierownictwem p. Anny Rollowej, małżonki prezydenta m. Krakowa, urządziło w pałacu hr. Potockich bardzo zajmującą wystawę prac kobiecych.*







Przyjazd nowego posła niemieckiego do Warszawy. *Nasze zdjęcie przedstawia nowego posła Rzeszy niemieckiej p. von Moltke i jego małżonkę w chwili, gdy na warszawskim dworcu głównym wysiadają z wagonu kolejowego.* Ag. fot. „Światowida".

W kole:

Zgon zasłużonego parlamentarzysty. *We Lwowie zmarł nagle b. poseł sejmowy, bł. p. dr. Diamand, dla prawości charakteru i znakomitych kwalifikacyj fachowych powszechnie poważany.*
Photo Plat — Warszawa

Strzały pod operą

Zamach na króla albańskiego.



W owalu:

Król albański Achmed Zogu. *Najnowsze zdjęcie władcy Albanji, którego adjutant własnem ciałem zakrył przed kulami zamachowca.*

Poniżej:

Szukaj kobiety. *Niektórzy przypuszczają, że zamach na króla Zogu ma tło romantyczne. Na zdjęciu wiedeńka baronówna de Janko, którą król Zogu poznał jako tancerkę na występach w Albanji i zawiązał z nią romans.* Central News.





Gmach Opery Wiedeńskiej. — *Jeden z najwspanialszych gmachów teatralnych w świecie. Zamachu dokonano przy bocznem wyjściu, (na dalszym planie na prawo).*







Powyżej:

Po zamachu. *Zamieszanie wśród przechodniów na wiadomość o dokonanym zamachu.*

Na prawo:

Sprawca zamachu. *Ndok Gjeloshi, aresztowany natychmiast sprawca zamachu.*

FOT. NEW YORK TIMES PARIS.

Policja wiedeńska bada ślady krwi. *U stóp kolumny przy wyjściu operowem pozostały plamy krwi adjutanta króla, zabitego strzałami rewolwerowemi.*

„Kocioł albański" znowu wybuchł. Bo chociaż strzały na króla albańskiego padły przy wyjściu z gmachu Opery Wiedeńskiej, to materjał palny, w przenośni przynajmniej, pochodził z Albanji, najmłodszego królestwa na Bałkanach, utrzymującego jednak widocznie stare tradycje bałkańskie. Król Zogu, wsparty na bagnetach i... pieniądzach włoskich, rządzi pod protektoratem Mussoliniego despotycznie Albanją, prawdopodobnie nietyle z wrodzonych instynktów despotycznych, ile dlatego, że pokrywę „kotła bałkańskiego" trzeba wogóle naciskać silną ręką, jeżeli się nie chce, by nagromadzone w nim gazy wybuchły. Dość powiedzieć, że kolonja emigrantów albańskich w Wiedniu, z której rekrutuje się i ujęty już sprawca zamachu i prawdopodobnie jego wspólnicy, liczy tylko kilkaset głów, ale w tych głowach jest podobno aż kilkadziesiąt rozmaitych programów partyjnych.

Zamach wiedeński ma dwa oblicza niejako. Jedno, to polityczna jego strona, stwierdzająca starą prawdę, że na Bałkanach, nawet na najbliższej Zachodowi ich części, mimo pozorów spokój jeszcze nie nastał. Kto wie, czy strzałami tymi nie kierowała także i inna, jakaś niealbańska ręka. Albanja bowiem jest wprawdzie maleńkim kraikiem, ale protektorat włoski wciągnął ją w orbitę polityki międzynarodowej, czyniąc z niej placówkę włoską na wschodniem wybrzeżu Adrjatyku, uważanego przecież przez Włochów za „mare nostro" (nasze morze), co wśród przeciwników ekspansji włoskiej spotyka się z silnym oporem.

Ale strzały pod Operą Wiedeńską, wymierzone przeciwko królowi albańskiemu, a zabijające jego adjutanta, są bardzo przykrem zdarzeniem i dla Wiednia samego. Ta wielka stolica małej republiki chce podtrzymać swoje znaczenie międzynarodowe, chce być ośrodkiem turystyki wyższego niejako stylu, bo szukającej nietylko zwykłych turystycznych wrażeń, ale i objawów wysokiej kultury. Dwiema przedewszystkiem rzeczami Wiedeń chce ściągnąć w swoje mury wybitnych, no i nota bene, zasobnych w walutę cudzoziemców: sztuką, a zwłaszcza galerjami obrazów i muzyką — oraz wiedzą lekarską uniwersytetu wiedeńskiego.

Ale przyjadą oni do Wiednia i zostawiają w nim pieniądze tylko wtedy, jeżeli będą się w nim czuć bezpiecznie. Król Zogu przyjechał do naddunajskiej stolicy dla leczenia się (chociaż plotka przebąkuje coś i o jakiejś historji erotycznej), a wolnymi wieczorami chętnie chodził do Opery. Zamach dokonany został więc niemal symbolicznie pod gmachem Opery właśnie. Wprawdzie król zapewnia, że go to nic do Wiednia nie zraziło, ale Wiedeńczycy boją się, jednak, że inni potentaci świata, może jeszcze bogatsi, np. maharadżowie wschodnio-indyjscy, stronić będą od Wiednia, nie chcąc narażać się tutaj na mniej lub więcej drastyczne demonstracje swoich niezadowolonych poddanych. Tak swego czasu niepożądane były Paryżowi z politycznych względów demonstracje emigrantów przeciwko przebywającemu nad Sekwaną carowi.

W podobnie niemiłej sytuacji znajduje się obecnie Wiedeń i bierze sobie to nawet o tyle bardziej do serca, że chodzi o ważniejszą dla Austrji od polityki sprawę: o pieniądze, pozostawione przez bogatych przybyszów. Toteż prawdopodobnie dalszą ofiarą zamachu będą i inni, nie albańscy tylko emigranci polityczni, których policja wiedeńska z miasta wydali.

A jest ich w Wiedniu, co nie miara! *F.*

SZPAKI JUŻ PRZYLECIAŁY!



Jeszcze białe plamy śniegu pstrzą ziemię i przymrozki poranne ścinają kałuże, jeszcze nieraz zimny wiatr miecie mokrymi płatami śniegu, a już pojawiają się szpaki w naszych okolicach. Zimę spędziły w ciepłym Egipcie lub Maroku. Stęsknione za stronami rodzinnemi pierwsze z ptaków przelotnych ruszyły na północ i zaraz dały znać o swem przybyciu śpiewem.

Siedząc na szczycie bezlistnych drzew lub na dachach domów śpiewają od wczesnego rana do nocy. W śpiewie ich bardzo urozmaiconym można wyróżnić mnóstwo melodyj podsłyszanych u różnych ptaków. Szpaki — plotkarze spotykały się na szerokim świecie z najrozmaitszymi śpiewakami; z wielką pojętnością uczyły się ich najnowszych przebojów i na wiosnę darzą nas urozmaiconym programem. Słyszy się w ich śpiewie wabienie wilgi, skrzeczenie sroki, zawodzenie skowronka, świst kosa, przemiły śpiew słowika i dziesiątki innych nieznanego pochodzenia melodyj. Dla urozmaicenia zapewne naśladują szpaki miauczenie kota, turkot wozu, skrzypienie drzwi. Niema takiej niepogody, któraby zmusiła je do zamknięcia złocisto-żółtych dziobów. Urodzeni optymiści zdają się hołdować zasadzie „może być gorzej“ i cieszą się z tego co jest, choć płaty mokrego śniegu zasłaniają słońce i przejmująco zimny wiatr smaga ich metalicznie świecące pióra.

Dawniej szpaki występowały w naszym kraju mniej licznie i to tylko w okolicach takich, gdzie obok pól rosły stare lasy z drzewami dziuplastemi. Wtedy wyłącznie dziuple służyły im za mieszkania. Ludzie polubili tych beztroskich gadułów i starali się utrzymać ich w pobliżu swych osiedli. Przygotowywali więc im różnego rodzaju domki na mieszkania. Najprymitywniejsze domki, ale zarazem i najstarsze, bo już z 18 wieku opisuje przyrodnik Pallas nad morzem Kaspijskiem.



Dnia 24 lutego br. w dzień św. Macieja, o którym mówi przysłowie, że albo zimę traci, albo ją bogaci, przyleciały do Polski pierwsze szpaki i ukazały się w województwie krakowskiem. Ponieważ równocześnie zawitały także zięby i skowronki, przeto jest nadzieja, że wiosna tego roku zacznie się wcześniej niż zwykle. Na zdjęciu u góry budka dla szpaków na plantach krak., w kole szpak, siedzący na nagich jeszcze gałązkach. Fot. Ag. Światowida

Pusta dynia zawieszona na patyku łatwo znajdowała skrzydlatych lokatorów. Później pojawiły się w tych okolicach pudełka z kory drzewnej. Stamtąd przeszczepił ktoś ten zwyczaj do Europy zachodniej, głównie do Niemiec, gdzie znacznie budowę domków udoskonalono i rozpowszechniono. Dziś szpaki żyją wszędzie, gdzie tylko mają postawione budki, choćby tylko najprostsze.

Zaraz po przybyciu wczesną wiosną odwiedzają szpaki swe domki i zazwyczaj przekonują się, że wróble zdążyły się już w nich osiedlić. Bez zaglądania zresztą do środka poznają to po wyglądzie zewnętrznym budki. Z otworu wylotowego wiszą źdźbła słomy, skrawki papierów i kawałki szmat. Nie zrażają się tem. Śmiało zabierają się do intruzów i paru uderzeniami dzióba przekonują je o tem, że silniejszy ma rację i że trzeba przed nim uciekać. W zdobytem mieszkaniu odnawiają szpaki umeblowanie — co jest zresztą prostym zabiegiem — wyrzucają mianowicie starą podściółkę, a znoszą nową.

Miesiąc marzec poświęcają miłości. Samce śpiewają coraz mocniej i namiętniej, błyskają przed oczami zakochanych samek swym pięknym czarnym strojem, błyszczącym metalicznie na piersiach i głowie. Trzepocą skrzydełkami i tańczą na gałęziach drzew. A samiczki spoglądają na nie z podziwem i cichym głosem wyrażają swój zachwyt i miłość.

Wnet potem spadają na ptaki obowiązki i kłopoty rodzinne pod postacią 5—7 jajek niebieskawych, spoczywających na dnie gniazda. Po dwu tygodniach młode otwierają szeroko dzioby i głośno wołają „jeść... jeść“. Rodzice gonią na wyścigi na łowy. Odwiedzają łąki, pastwiska i ogrody w pogoni za owadami i robakami. Łowią wszystko, co żyje. Najchętniej polują na ziemi, biegnąc szybko, lustrują bystremi oczyma trawy i grudki ziemi. Czasami, szczególnie na naszych kresach wschodnich, wchodzą w komitywę z bydłem i świniami, pasącemi się na pastwiskach. Spacerują śmiało po ich grzbietach i dziobem wyciągają owady, pasorzytujące w skórze między sierścią lub szczecią.

W maju wylatuje rodzina na pole i tu młode uczą się od rodziców pracować na życie. Jako pojętne stworzenia kończą studja już po tygodniu. Rozstają się z rodzicami i zbierają się w stada z podobnymi do siebie młodzikami. Odtąd zaczyna się dla nich życie beztroskie. Wałęsają się stadami bez celu całymi miesiącami. W jesieni przyłączają się do stad czajek i kawek i z niemi żerują po polach. Jeżeli podczas swoich wędrówek napotkają na sady wiśniowe lub winnice, szerzą w nich spustoszenia. Ale to jedyny ich grzech, który mogą popełnić w swem życiu. Zresztą tylko sposobność robi z niewinnego ptaka przestępcę. Gdyby sadownicy i winiarze wystawili w swych plantacjach straszaki, szpaki nie uległyby pokusie.

Późną jesienią odlatują stare z młodymi do Afryki. Część jednak zimuje już w środkowej Europie, mianowicie w tych okolicach, gdzie znajdują opiekę ludzką, a więc przedewszystkiem po miejskich parkach. Zwolna przemieniają się z ptaków wędrownych na osiadłe. Szpak w pełni zasługuje na naszą przyjaźń i pomoc. Zakładajmy im wszędzie domki na mieszkania. (W Polsce wyrabia takie domki w cenie 2.75 zł. za sztukę — Dom Karny, Wydział Pracy, Rawicz, Woj. Poznańskie). Z wystawieniem domków należy się spieszyć, bo już pierwsze forpoczty szpacze się pojawiły. Za kilka dni ruszą z południa masy tych ptaków, część zatrzyma się w odpowiednich miejscach, reszta uda się dalej na północ w poszukiwaniu mieszkań. Spieszmy się więc, aby przez własne niedbalstwo nie pozbawić się towarzystwa tych miłych optymistycznych gadułów.

Z. G.

Reportaż ze świata.



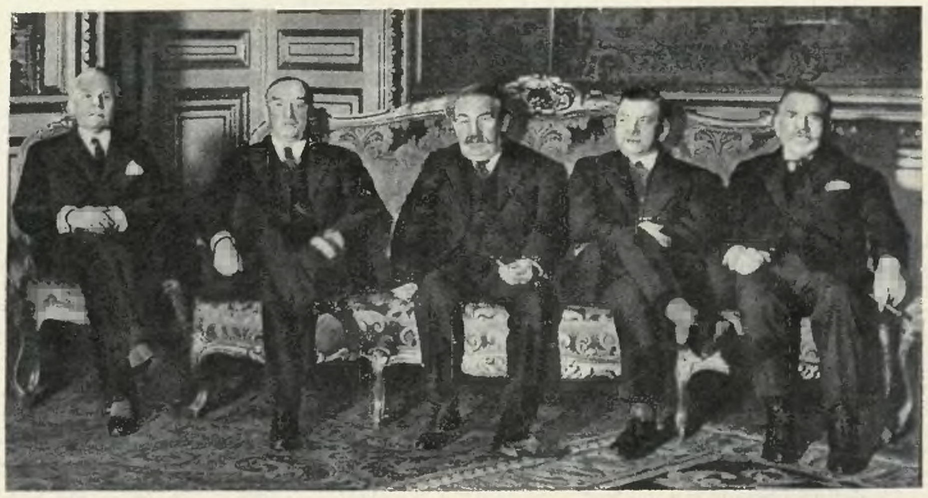


Zawsze pierwsi. Dwaj znakomici lotnicy francuscy Le Brix (u góry) i Doret wystartowali w tych dniach w Marsylji na aeroplanie, ażeby dla Francji zdobyć nowy rekord długotrwałości lotu.
Fot. Pacific & Atlantic.

Katastrofalny orkan na Sycylji. Wskutek straszliwego orkanu, jaki w tych dniach szalał na Sycylji i związanej z nim ulewy, rzeki wystąpiły z brzegów i wyrządziły ogromne szkody. Na zdjęciu powódź w Palermo.
Fot. New York Times, Berlin.



Z podróży Sven Hedina. Znany podróżnik szwedzki Sven Hedin przerwał chwilowo swe badania naukowe w Chinach, gdzie przebywał 4 lata i udał się do Sztokholmu. Na zdjęciu Sven Hedin (po prawej) w otoczeniu dygnitarzy chińskich. Atlantic Photo, Berlin.

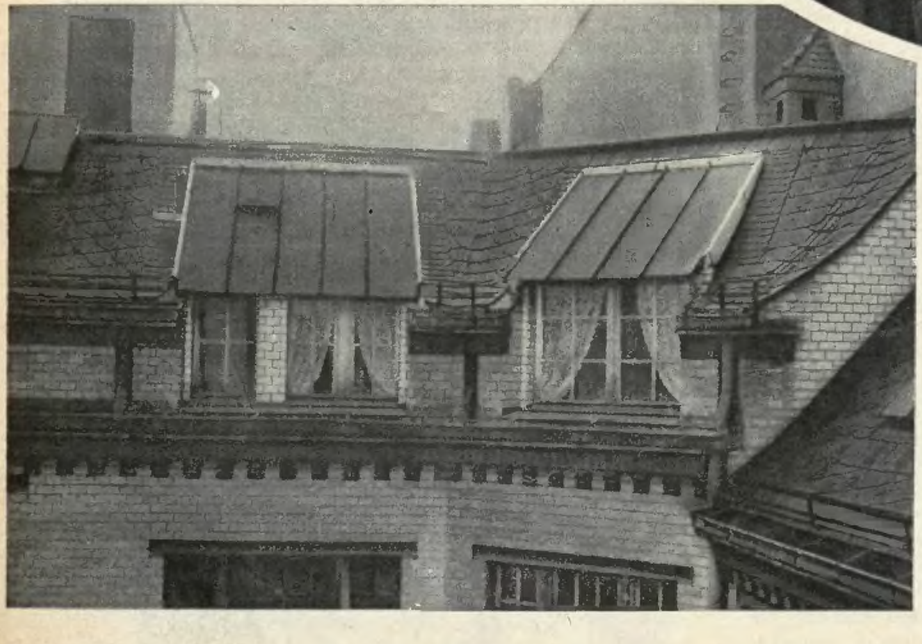


O rozbrojenie na morzu. Kolejno na konferencjach w Paryżu i Rzymie była w ciągu ostatnich tygodni omawiana sprawa ograniczeń zbrojeń morskich i zawarcia paktu w tej sprawie pomiędzy Francją, Anglją i Włochami. Na fotografji uczestnicy paryskiej konferencji z ministrem Briandem w pośrodku. Fot P. & A. Photo.



Fałszerze złotych w Berlinie. Przed kilku dniami policja berlińska wykryła na Friedrichstrasse w Berlinie, pod Nr. 154, kryjówkę fałszerzy, którzy puszczali w obieg faszywe stuzłotówki. Poniżej na zdjęciu okna mieszkania, w którem fabrykowano stuzłotówki. Fot. New York Times.

Poniżej:
Olbrzymi pożar w Londynie. Wybuchł on w dzielnicy wschodniej i zniszczył Dom Ludowy, wyrządzając ogromne szkody. Między innemi spaliły się tam organy wartości około 250.000 złotych.
Fot P. & A. Photo.



„Dzień głodu“. Zorganizowany przez Moskwę w całym świecie w dniu 25. II. br. dzień głodu, przeszedł naogół spokojnie. Do większych rozruchów przyszło tylko w Berlinie. Na fotografji pochód komunistyczny we Wiedniu.
Fot. P. & A. — Berlin.

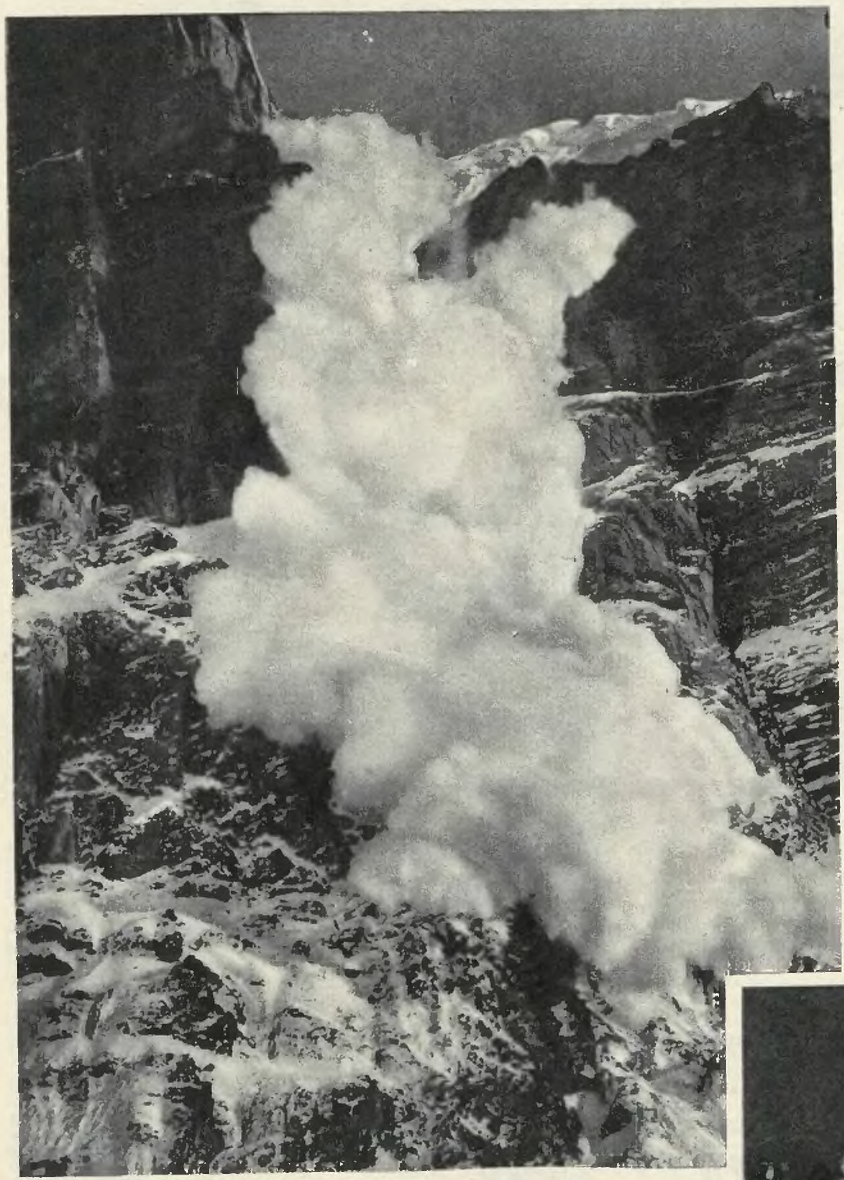


BIAŁA ŚMIERĆ.

Gdy w kraju naszym zima obecna przeszła przy stosunkowo słabem zaśnieżeniu i niezbyt obfitych opadach, pozostałe kraje Europy Środkowej zostały nawiedzone przez olbrzymie śnieżyce o niepamiętnych przez całe pokolenia rozmiarach. Przedewszystkiem kraje alpejskie zostały zasypane przez takie masy śniegu, że nietylko komunikacja kolejowa i automobilowa została na dłuższy czas przerwana, ale znajdujące się w bocznych dolinach górskich miejscowości zostały zupełnie odcięte od świata. Równocześnie wzmogło się niesłychanie niebezpieczeństwo lawin w górach, których tysiące zwaliło się ze stoków górskich w doliny, niosąc śmierć i zniszczenie.

Lawiny śnieżne mogą powstać wszędzie tam, gdzie na stromszym nieco stoku leżą większe ilości śniegu. Najważniejszym czynnikiem przy tworzeniu się lawin jest brak spoistości warstwy śniegowej z jej podłożem. Jeżeli podłoże to stanowi gładka i zlodowaciała powierzchnia starego śniegu, albo jeżeli nagła odwilż stworzy śliską warstwę spodnią przy wielkim stosunkowo ciężarze nasiąkniętego wilgocią śniegu — runięcie lawiny następuje w sposób nieunikniony i wystarczy najsłabszy nawet impuls wiatru, słońca lub człowieka, aby cały stok zaczął zjeżdżać w dół, coraz szybciej, porywając po drodze nowe warstwy śniegu i zamieniając je rychło w żywiołową potęgę, kładącą pokotem całe lasy, burzącą domy i osiedla ludzkie, zasypujące czasami całe koryta rzek.





Lawina, jaka spadła w Dolinie Kondratowej, obok Zakopanego. Rozmiary lawiny najlepiej charakteryzują malutkie figurki narciarzy na jej powierzchni.

Obok:
W Alpach skalistych, wznoszących się powyżej granicy wiecznych śniegów, spotykamy nawet w letniej porze lawiny, torujące sobie drogę przez potężne żleby skalne na stokach szczytów. Temu zjawisku żywiołowemu towarzyszy gwałtowny pęd powietrza, idącego przed lawiną i huk, dorównujący najsilniejszym grzmotom.

Poniżej:
Na dnie doliny zatrzymana lawina spiętrza się odrazu do wysokości kilkunastu metrów, a zbity rozpędem śnieg, nabiera twardości betonu. Jest niesłychanie mozolną pracą odszukanie zasypanych ludzi pod lawiną. A wszakże wielu z nich jeszcze żyje. Pracę odkopywania prowadzi się dlatego z niesłychanym pośpiechem przy blasku pochodni.



Szczególnie niebezpieczne są lawiny dla tak popularnego sportu, jakim jest narciarstwo. Ciężar narciarza, wspierającego się na stosunkowo znacznej powierzchni nart, przecięcie powierzchni śniegu ciągłym śladem nart, stwarza częściej niż jakakolwiek inna przyczyna niebezpieczeństwo urwania się lawiny. A narciarz, gdy go porwie ze sobą masa śnieżna jest z reguły stracony i tylko w wyjątkowych wypadkach potrafi się wyrwać szponom „białej śmierci". Toteż lawiny porwały w ostatnich dwóch miesiącach na obszarach Alp setki ofiar. W górach naszych pamiętną jest śmierć pod lawiną ś. p. Mieczysława Karłowicza, jednego z najwybitniejszych kompozytorów polskich w dniu 8. lutego 1909 r.

TYDZIEŃ ZAGRANICĄ.



W owalu:

Pierwsze zwiastuny wiosny. Jeszcze zima trzyma nas w swoich srogich okowach, ale już pojawiają się pierwsze, tak bardzo pożądane, zapowiedzi wiosny. Oto pole, pokryte pierwiosnkami w angielskiej miejscowości Burton w hrabstwie Sussex.

R. Sennecke.



Amerykański wróg Mussoliniego. Podajemy tutaj portret amerykańskiego generała-majora Smeedley'a Butlera, który w jednem ze swoich publicznych przemówień, wyraził się bardzo ujemnie o dyktatorze włoskim, zarzucając mu między innemi, że raz jadąc z niedozwoloną szybkością samochodem, przejechał na śmierć dziecko i wcale się o nie nie zatroszczył.

Atlantic Photo — Berlin.



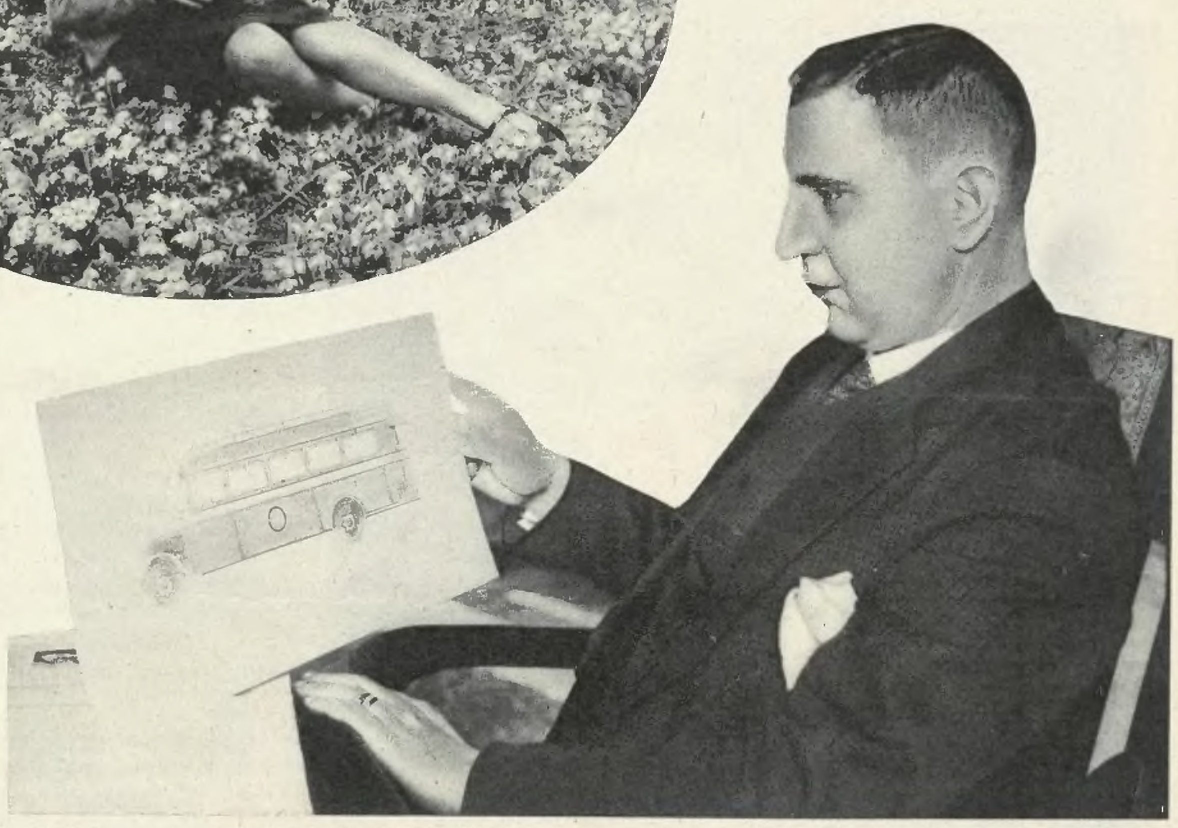
Straszliwa katastrofa górnicza w Niemczech. Ofiarą wybuchu trujących gazów kopalni węgla w Eschweil padło kilkudziesięciu robotników. Dotychczas wydobyto z pod gruzów przeszło 30 trupów, a liczba ciężko rannych jest również bardzo znaczna. Nasze zdjęcie przedstawia rodziny nieszczęśliwych, czekające przed gmachem zarządu kopalni na bliższe wiadomości o straszliwej katastrofie.

New York Times.



Wspaniałe powitanie lotników włoskich. Mimo, że włoski przelot nad Oceanem Atlantyckim nie odbył się bez bolesnych ofiar, ludność miasta Rzymu tłumnie witała przybyłych z powrotem lotników. Plac Colonna, przedstawiony na naszem zdjęciu, wypełniony był szczelnie niezliczonemi rzeszami entuzjastów.

Atlantic Photo — Berlin.



Autobusem z Warszawy przez Berlin do Paryża. Już od maja b. r. ma podobno kursować pomiędzy temi trzema stolicami wielki autobus pasażerski, przeznaczony dla 25 do 30 osób, wielką tę drogę przebywający w ciągu mniej, niż 40 godzin, z szybkością przeciętną 45 km. na godzinę. Na naszem zdjęciu projektodawca tej linji autobasowej, dyr. Lüders, trzyma w ręku rysunek modelu autobusu.

Poniżej:

Nowy poseł niemiecki w Warszawie. Następcą niedawno zmarłego przedstawiciela dyplomatycznego Rzeszy niemieckiej przy rządzie polskim w Warszawie, śp. Rauchera, mianowany został już oficjalnie radca legacyjny berlińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych von Moltke, którego portret tutaj podajemy.

Pacific et Atlantic.





Rozłam w stronnictwie robotniczem w Anglji. Jeden z najwybitniejszych członków t. zw. Labour Party w parlamencie londyńskim, sir Oswald Mosley, niezadowolony z polityki obecnego rządu, zamierza wystąpić z partji i utworzyć osobne stronnictwo, z kolei już czwarte w Anglji. Mac Donald dąży do zapobieżenia rozłamowi.

Atlantic-Photo Berlin.

PROMETEUSZ NASZEJ EPOKI.

W 84 rocznicę urodzin Edisona.



Tomasz Edison, wedle ostatniej swojej fotografji.

Śmiało można powiedzieć, że Tomasz Alva Edison jest największym człowiekiem naszej epoki. Przewyższył on bowiem wszystkich koronowanych władców, wodzów, ideologów, dyktatorów, dobroczyńców i artystów, albowiem dał ludzkości szereg epokowych dzieł, bez których wprost nie można wyobrazić sobie dzisiejszej egzystencji.

Poza dziesiątkami, a nawet można powiedzieć setkami najróżniejszych drobniejszych wynalazków Edisona, wybijają się na plan pierwszy i wejdą na zawsze do złotej księgi inwencji i postępu ludzkiego: telefon, fonograf, megafon, żarówka elektryczna i dzisiejszy aparat kinowy. Edison to legjon genjalnych mózgów, umieszczonych w nim jednym, a mających jakąś nadludzką właściwość wiązania dotychczas pływających w eterze różnych idej i pomysłów technicznych, które chwytane przez niego i ściśle uwięzione w konstrukcje aparatów jego pomysłu, idą w służbę człowieka, rozszerzając jego horyzont myśli, poznania i zwycięskich możliwości w walce z przyrodą.

Karjera Tomasza Edisona stała się przysłowiową. Dowodzi ona, że genjusz ludzki przeskakuje wszystkie normy wychowania i wykształcenia oraz przyjętej przez przeciętnych ludzi drogi powolnego rozwoju. Urodzony 11 lutego r. 1847 w Milan w stanie Ohio Ameryki Północnej, nie dokończył nawet szkoły elementarnej, bo wskutek nędzy rodziców musiał już w 8-mym roku życia podjąć się pracy zarobkowej. Zaczął ją jako kolporter gazety i przekąsek w pociągach między Port Huron a Detroit. W legendarnych skokach rozwijał się umysł genjalnego chłopca. W dwa lata później stał się już „redaktorem" własnej gazetki, którą układał w pociągu, w kącie oddanego mu do użytku wagonu bagażowego i odbijał na prasie ręcznej, sprzedając następnie pasażerom. Gazetka musiała być zajmująca, bo w niedługim czasie miał aż — 400 abonentów! Cóż, niestety poniósł go nerw dziennikarski, gdyż wypatrzywszy nocną przygodę pewnej damy w pociągu kurjerskim, opisał ją pikantnie i nazbyt przejrzyście. Wybuchła awantura, „redaktora" wraz z jego gratami wyrzucono.

Uzyskuje niebawem stanowisko telegrafisty w biurach Port Huronu, Stratfortu i Adrjanu. Tutaj obudził się w nim „genjusz elektryczności" i tutaj dokonał pierwszego wynalazku, t. zw. „automatic repeater", to jest przyrządu pozwalającego na automatyczny odbiór depeszy bez wystukiwania alfabetu przez telegrafistę. Ułatwiwszy sobie w ten sposób robotę, miał wiele czasu do obserwowania aparatów, którym wymyślił szereg uproszczeń i wynalazków, ale niestety trafił na głupawego kierownika, który zląkłszy się „rewolucyjnego" wynalazcy, chcącego aby aparaty same za ludzi pracowały, wyrzucił go z posady.



Edison ściska rękę swojemu następcy Wilburowi B. Hustonowi. Scenie tej asystują najwięksi potentaci przemysłowi i finansowi Ameryki. Od lewej: Lewis Perry, Harvey Firestone król gumy, Henryk Ford, Hubert Hove, William Bryan, profesor uniwersytetu w Indiana. New York Times.

W r. 1868 otrzymał Edison nowe, wyższe stanowisko w urzędzie telegraficznym, a jednocześnie oddawał się z zapałem studjom w dziedzinie elektrotechniki, rozpoczynając błogosławiony dla ludzkości cykl wynalazków.

Otwiera je w r. 1869 pierwszy patent na aparat do obliczania głosów. Od tego czasu zaczyna się już cykl wielkich wynalazków, które potworzyły olbrzymie warsztaty pracy, całe kolonje fabryczne, dające zarobek i utrzymanie tysiącom ludzi. Znamy je wszystkie doskonale z wielokrotnych opisów, bo przypominają nam imię genjalnego wynalazcy coraz doskonalsze patefony i dzisiejszy rozwój oświetlenia elektrycznego, które od pierwszej „gruszki edisonowskiej" zaczęło właściwie normalny rozwój i służbę na pożytek ludzkości.

Laboratorjum w Melno-Parku koło New Yorku jest jakby legendarną kuźnią dzisiejszego Hefajstosa, skąd wybiegają na cały świat pioruny jego genjalnych myśli, pracujących jedynie dla dobra ludzkości.

W lecie r. 1929 dokonał Edison nowego czynu, także wynalazczego, w dziedzinie społeczno-naukowej, a mianowicie postanowił wyszukać swego następcę.... Odbyło się to drogą konkursu, do którego stanęli młodzieńcy specjalnie uzdolnieni w dziedzinie technicznej i wybór padł na 16-letniego syna pastora z Seatle w stanie Waszyngton, Wilbur B. Hustona, którego Edison wdraża obecnie, wzorem dawnych mistrzów w sztuce z epoki Renesansu, w swoje wynalazki i pomysły coraz nowszych udoskonaleń w elektrotechnice.

Żywot Edisona, jego wielkie dzieło, napawa optymizmem i ufnością, że genjusz ludzki ciągle może tworzyć nowe możliwości życia i że nie mieli racji antyczni Grecy, twierdząc, że bogowe zazdroszczą ludzkości swoich tajemnic — nowoczesny bowiem Prometeusz wydarł im ich dużo, łącznie ze światłem, które dzięki jego wynalazkowi może rozświetlać mroki najzapadlejszych osiedli — i nie dał się przykuć do skały.

Niechże więc żyje jak najdłużej i przysparza nam swoich genjalnych wynalazków.

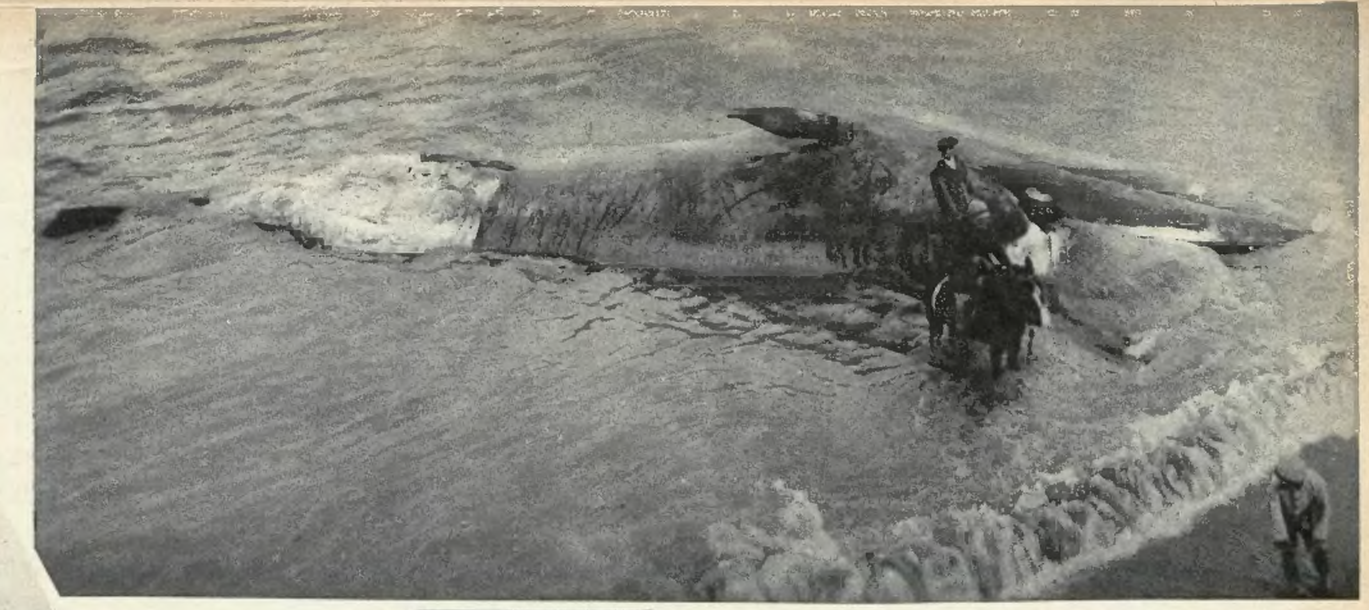
s. now.



Lwy morskie na wybrzeżu.

Młody ocelot, mieszkaniec puszcz argentyńskich, obok sowy w gnieździe, uwitem na kaktusach. Wide World Photos, London.





Wieloryb wyrzucony przez morze na brzeg argentyński.

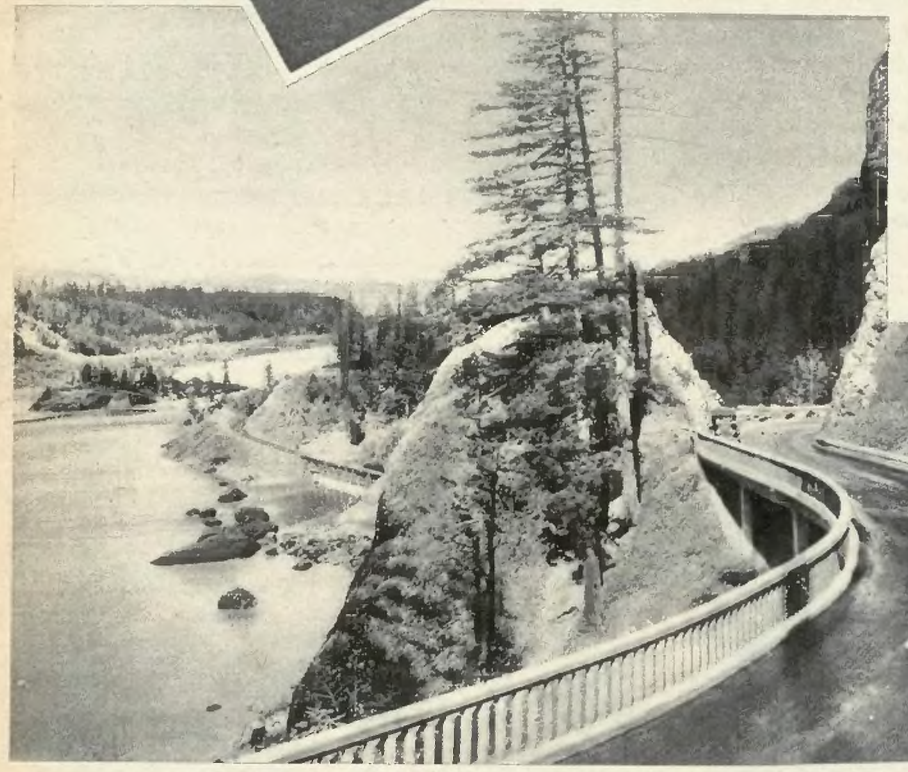


Upiorny orzeł przybrzeżny straszy człowieka-intruza.



Nad zbliżającą się ławicą ryb krążą nieprzejrzane stada gawiotów.

ARGENTYNA
RAJ DLA MYŚLIWYCH.



Droga, idąca brzegiem słynnej z obfitości ryb rzeki Colorado w Argentynie u stóp Mount Varna. Okoliczne lasy są pełne egzotycznej zwierzyny.

Bahia Blanco, w marcu 1931.

W Argentynie może każdy polować. Nie trzeba żadnych specjalnych pozwoleń na noszenie i używanie broni palnej i niema żadnych dzierżaw, ani innych tym podobnych wymysłów innych krajów, gdzie zwierzyna jest na wymarciu. Argentynie taka ewentualność nie grozi. Z wyjątkiem wysp fok i niektórych wysp ptasich, określonych jako rezerwaty, wszędzie polować wolno, zwierzyny jest tam nadmiar.

Sami Argentyńczycy są za leniwi, by oddawać się sportowi myśliwskiemu, wymagającemu pewnego nakładu energji i znacznego nieraz wysiłku fizycznego, to też rodowitych myśliwych Argentyńczyków można policzyć prawie na palcach.

Przybysze natomiast, którzy tu przyjechali dla dorobienia się, nie mają czasu na to, zresztą tereny myśliwskie są zwykle dość znacznie oddalone od miejsc, ich pracy, umyślnie zaś jechać w dalsze strony dla polowania, tego już trochę za wiele. To też prawdziwy myśliwy ma tu złote czasy.

Do najbogatszych w zwierzynę należą obszary niezmierzone, położone zdala od centrów miejskich, zdala od dróg komunikacyjnych, w górskich ostępach nadmorskich wybrzeży, nie wspominając o północnych obszarach kraju, jak pogranicze Brazylji i Paragwaju, gdzie znów puszcze leśne są zamieszkałe przez inną kategorję drapieżców.

Na wybrzeżu południowem bezpieczniej jest nie puszczać się na przechadzkę bez dobrej strzelby. Ni stąd ni zowąd można natrafić na stado groźnych lwów morskich, bardzo pospolitych w tych stronach. Są to zwierzęta znacznie większe od fok, zwanych wilkami morskimi, dochodzą często do 400 kg. wagi i więcej, wchodzą dość głęboko w ląd, gdzie zanurzone w piasku nadbrzeżnym, odbywają dzienną siestę. Przebudzone, atakują intruza, a dość łatwo na nie się natknąć, gdyż zdala wyglądają jak większe kupy piasku i dopiero przy zbliżaniu się człowieka zrywają się na przednie łapy i starają się go odstraszyć groźnem warczeniem i pomrukiem. Na ląd wychodzą zwykle w dość dużych gromadach i wówczas lepiej jest ich unikać. Poluje się na nie specjalnie dla futer, a raczej skóry, bardzo dobrej na impregnowane, nieprzemakalne buty, oraz dla tłuszczu.

Prócz lwów morskich i fok, jest tam jeszcze cały szereg czworonogów w rodzaju naszych wyder i bobrów, zwierząt ziemno-wodnych, które żywią się rybami morskiemi, jakich mamy tu kilkadziesiąt gatunków, począwszy od najmniejszych, mniejszych, od małych sardynek, a skończywszy na rejach. — Bardzo często wieloryby rozbijają się o nadbrzeżne skały, poczem woda wyrzuca je w dalszem miejscu na wybrzeże płaskie. Do wyciągnięcia takiego nieboszczyka musi się czasami użyć kilkunastu par koni lub wołów, poczem poćwiartowanego oddaje się do przeróbki na glicerynę i t. p. produkty. Na ten cel używa się tu kilkaset tysięcy ton ryb rocznie.

Puste wybrzeże ożywiają tysiączne odmiany przeróżnego ptactwa morskiego, jak albatrosy, mewy, gawioty, gołębie morskie, gołębie skalne, orły plażowe i cały szereg innych. W jakich stadach ptaki te latają daje słabe pojęcie załączona fotografja igrających gawiotów. — Są one śmiałe i niebardzo przejmują się widokiem człowieka. Natomiast orły plażowe, wyglądające nieco upiornie, nietylko nie uciekają na widok człowieka, lecz za jego zliżeniem się go poprostu go prowokują, strasząc otwieraniem skrzydeł i bojowem pochylaniem głowy. Odpowiednia ekspedycja myśliwska w te strony mogłaby śmiało pokryć koszty swej wyprawy kilkutygodniowej ze sprzedaży futer, oraz różnych okazów wypchanych, względnie w inny sposób zakonserwowanych dla przyrodniczych gabinetów w Europie.

Spędzenie letniego sezonu na tych obszarach nietylko nicby nie kosztowało, lecz w dodatku dałoby bardzo wiele emocji. Ziemia i woda wyżywi dostatecznie nawet najwybredniejszego smakosza. Wody obfitują w niezliczoną ilość smakowitych, olbrzymich krabów, bardzo łatwych do schwytania w małych lejach wodno-piaskowych na wybrzeżu, niezliczone odmiany krewetek, pajączków morskich, przeróżnych jadalnych rozgwiazd, małż, oraz innych najfantastyczniejszych skorupiaków i mięczaków, przy nieograniczonym wyborze smacznych ryb. Na lądzie zaś tyle gołębi, że pisklętami ich można się żywić aż do znudzenia się. Oczywiście jest się zdanym na prowadzenie życia koczowniczego, względnie jaskiniowego, gdyż na niezmierzonych tych obszarach domostwa są rozsiane bardzo rzadko i krajowiec ich nie chce wynajmować, zresztą zamiast mieszkać w nich, przyjemniej i bezpieczniej (ze względów sanitarnych) mieszkać pod gołem niebem.

Niedaleko miejscowości Necochea i Miramar są skaliste wybrzeża (skały zwietrzałe), osypujące się, niezbyt wysokie, tworzące bardzo wiele grot, dających bardzo wygodne pomieszkanie. Niektóre groty idą po kilkanaście metrów w głąb skały, tworząc istne sale. W grotach tych po poprzedniem dokładnem obejrzeniu, czy nie są przypadkiem zamieszkałe przez krwiożercze pumy, można sobie urządzić bezpłatną wilegjaturę. — Jedną z takich widziałem u inżynierostwa Fryczów z Wilna. Było to coś bajecznego. Wejście do otworu było na wysokości jakich dziesięciu metrów, wchodziło się doń po stopniach zwietrzałego bazaltu. Przed samem wejściem do groty było coś w rodzaju obszernego, wygodnego balkonu-podwórka, osłoniętego od morza małą barjerą kamienną. Wewnątrz groty, do której wchodziło się przez dość obszerny otwór, powiększony przez gospodarzy, znajdowały się niejako trzy ubikacje, z których każda im bardziej w głąb, tem była wyższa. W najwyższej znajdowała się sypialnia, z której roztaczał się przecudny widok na pełny Ocean. Rano, wschodzące słońce oświetlało wnętrze groty istną orgją barwnych promieni. W przyległych grotach tysiące gołębi już od świtu budziło wszystkich gruchaniem i poszumem tysięcy skrzydeł, co zmieszane z poszumem fal morskich, tworzyło dziwną jakąś muzykę przestworzy. Na progu groty wylegiwał się na straży piękny wyżeł inżyniera. — Wodził bez przerwy łakomym wzrokiem za „fruwającem śniadaniem“, czekając, aż się pan jego zbudzi i strzeli z dubeltówki w zbitą gromadę. — „Muchacho“ (czyli chłopaczek), wówczas wpada w trzepoczącą się gromadę rannych gołębi i (sprytna jucha) najpierw rzuca się na lżej ranne, które mogą jeszcze jako tako ratować się ucieczką. Z tymi załatwia się najpierw, poczem kolejno znosi do groty upolowaną zdobycz z miną, jakby to on sam upolował. „Muchacho“ woli młode gołąbki i znakomicie je odróżnia od starych — po smaku, pozatem nie przebiera, byle było tego dużo i dobrze przyprawione, względnie upieczone. Nie znosi natomiast krabów, zwłaszcza od czasu, jak jeden z nich złapał go za łapę kleszczami w sposób bardzo ordynarny, a wielce bolesny.

Muchacho lubi igrać z lwami morskimi, oszczekując je na duży dystans, niechno jednak lew parsknie i potrząśnie grzywą, a nasz Muchacho zmyka aż miło.

Ognisko, z braku drzewa, tworzy się z suchego nawozu, dym z tego paliwa, ckliwy i gryzący, chroni wieczorami znakomicie od miljardów moskitów. Poza temi „ale“ taka jaskiniowa sielanka, zdala od gwaru, a jeszcze bardziej od ludzi, to najidealniejszy wypoczynek dla nerwów przez tych parę tygodni, to też sympatyczna para nowoczesnych Robinzonów tryskała aż zdrowiem, oboje ogorzali na bronz, wiecznie uśmiechnięci, beztroscy, swobodni i... sami, sami, sami. — Już samo to ma swój ogromny urok po życiu w miljonowej metropolji, jaką jest Buenos Aires.

Dzikie ostępy leśne Argentyny opierać się będą jeszcze wieki postępowi kultury, która wdziera się tutaj coraz to bardziej stanowczo. Przez długie wieki rozlegać się tam będzie jeszcze jako jedyny znak życia człowieka — stuk siekiery i echo wystrzału.

Wł. Taworski.



Stanęli naprzeciw siebie w puszczy ptak i wąż. Za chwilę rozpocznie się śmiertelna walka. Scenę tę obserwuje człowiek i chwyta na taśmę filmową, ciesząc się z tak osobliwego zdjęcia. Atlantic-Photo.

SYLWETKA MODY WIOSENNEJ

Z ukazaniem się pierwszych kolekcyj wiosennych w wiel-
ich magazynach paryskich, gruchnęła niezwykła i nieoczeki-
rana wieść; suknie są krótsze!

Ale trzeba sprecyzować tę wiadomość. O jakie suknie tu
hodzi? Nie o suknie sportowe, bo te nigdy nie były długie.
nie o suknie wieczorowe, bo kobiety przyzwyczaiły się do
:h powłóczystej linji. Otóż chodzi zatem o suknie popo-
ıdniowe, czy też wizytowe, których długie rąbki wystające

Od lewej do prawej:

Strojna toeleta popołudniowa z różowego crepe-romain.

Żakiecik z białego crepe-marocain do spódniczki z czarnego crepe-satin.

Wytworna suknia wizytowa z granatowej crepe de chine w popielate kropki







pod płaszczów
futer były naszą
morą w zimie.

A więc suknie wizy-
owe nie obobiązują już do
kostek, tylko do połowy łydki.
przedewszystkiem muszą stwarzać
bardzo młodzieńczą sylwetkę. Bo ko-
biety spostrzegły z przerażeniem, że je ta
„długa" suknia postarza!

W modzie wiosennej będą domino-
wać dwie sylwetki: Jedna o linji „prin-
cesse", modelująca dokładnie całą postać
od szyi do bioder i druga, obciskająca
tylko biust i rozchodząca się od pasa
w powiewnych godetach, falbankach, fał-
dach i t. d.

Ta pierwsza sylwetka nadaje się na suk-
nie z lekkiej wełny lub jedwabiu, ta druga
na georgetty i gazy, na całą strojność su-
kien letnich.

Przybranie białe z batystu, czy georgetty
zajmuje coraz więcej miejsca. Każda suknia
jest niemal ożywiona takim batystowym koł-
nierzykiem i mankietami, jakąś kamizelką
z szwajcarskiego haftu, jakąś wsadzką z dro-
bniutko plisowanej georgetty. Te białe przy-
brania są bardzo ładne i bardzo niepraktyczne,
dlatego też trzeba ich mieć więcej w zapasie,
aby nic nie traciły na świeżym wyglądzie.

Pisałam już o wielkiej modzie szkotów. Zdaje się, że na wiosnę będziemy wszystkie... w kratkę. Wełny, jedwabie, a nawet najcieńsze gazy zaadoptowały tę szkocką kratę. Nie mówiąc już o bluzkach zrobionych z kraciatej tafty, o szalach itd.

Kapelusze są nadal malutkie i zjeżdżają coraz bardziej na tył głowy. Ta moda, którą ktoś trafnie określił, jako wymagającą 25 lat wieku co najwyżej, nie znużyła jeszcze dotychczas kobiet. Malutkim tym kapeluszom towarzyszą prawie bez wyjątku woalki ocieniające, nazbyt okryte czoło. — Paryżanki radzą sobie nawet w ten sposób, że nawiązują woalkę wprost na głowie a na to dopiero nakładają kapelusz, lub raczej czapeczkę.

Każda suknia ma swój żakiecik, bolerko lub chociazby tylko pelerynkę. Natomiast na wieczór wychodzą z mody krótkie okrycia, ustępując miejsca długim, bardzo strojnym płaszczom z aksamitu i jedwabiu.

Oto są pierwsze przesłanki mody wiosennej, tworzącej się na klasycznym gruncie wszelkich nakazów mody: w Paryżu. W najbliższym czasie będzie można stwierdzić, o ile i nasze panie, chętnie idące zazwyczaj za wskazówkami paryskiemi, zechcą się i tym razem do nich zastosować. Bo chociaż jesteśmy od Paryża geograficznie dość odlegli, to przecież we wszystkich objawach kultury słusznie naszą łączność z nim akcentujemy.

Jola.





W kole:

Typ kapelusza sportowego.

Obok:

Bardzo ładny kapelusz z białego filcu.

W STULECIE OLSZYNKI



Uroczystość pod Grochowem. Na pierwszym planie krzyż pamiątkowy, pod którym ustawiły się delegacje z Warszawy ze sztandarami, na dalszym planie oddziały wojskowe, biorące udział w uroczystości.



Akademja w sali Rady Miejskiej w Warszawie. W pierwszym rzędzie siedzą pp.: gen. Romer (x) jako przedstawiciel P. Prezydenta Rzpltej, dalej wicemin. Ołpiński (1), dyr. Stamirowski (2), mec. Suligowski (3), wicemin. ks. Żongołłowicz (4).

Na lewo: **Obchód pod Grochowem.** Przemówienie, poświęcone bitwie grochowskiej, a transmitowane przez radjo, wygłosił p. pułk. Dunin-Wolski.

Poniżej na lewo: **Założenie kamienia węgielnego pod pomnik w Olszynce Grochowskiej.** Po poświęceniu kamienia węgielnego przez J. E. ks biskupa Galla (1), akt erekcyjny podpisał m. i. dow. O. K. 1, gen. Wróblewski (2).









Obchód w Krzeszowicach pod Krakowem, gdzie spoczywają zwłoki gen. Chłopickiego. Z niedzielnych uroczystości w Krzeszowicach, podajemy powyżej defiladę ułanów pułku. im. ks. J. Poniatowskiego, poniżej na prawo oddział strzelców, biorący również udział w tej defiladzie.

Ku czci gen. Chłopickiego. Podczas gdy warszawski obchód stulecia bitwy pod Olszynką Grochowską był uczczeniem pamięci wszystkich uczestników tego chlubnego dla oręża polskiego boju, obchód w Krzeszowicach pod Krakowem skoncentrował się przedewszystkiem około osoby gen. Chłopickiego i najbliższych jego towarzyszów broni, którzy tam na cmentarzu spoczywają. Podajemy powyżej tablicę ku czci Dyktatora poniżej widok banderji włościańskiej, której udział przyczynił się do uświetnienia uroczystości

proces lady Owen



W kołach: Bohaterowie sensacyjnego procesu paryskiego Lady Owen i jej kochanek Dr. Gastaud.

Obok na prawo: Tłumy przed sądem w Wersalu, oczekujące na wyrok.

U góry na prawo: Pokojówka Lady Owen, składająca zeznania w procesie.

Na tle sensacyjnego procesu w Paryżu.

„Niema co robić w tym Paryżu“ — powiedziała sobie któregoś dnia piękna Francuzka, mająca w zapasie 19 lat, ładną figurkę i zmysłowe usta. Trudno jej było zaprzeczyć. Wojna zbliżała się do bram Paryża, a w stolicy Francji robiło się gorąco. W takiej chwili wyjeżdża ponętna Francuzka do Londynu i znajduje stanowisko w spółce handlowej bogatego Sir Owena. Co się dzieje, kiedy Anglik, liczący sobie lat 52, doskonale ubrany, grzeczny, mający w kieszeni stale książeczkę czekową, cierpiący zlekka na podagrę i samotność — znajdzie się koło podniecającej dziewczyny? Prawdopodobnie zaproponuje jej małżeństwo.

Tak się też stało. Sprytna Francuzeczka o blond włosach i szerokich zalotnych ustach zostaje Lady Owen. Mąż ją rozpieszcza, kupuje jej wspaniałe toalety, pozwala jej na występy w teatrze, na popisy taneczne w kostjumach bardzo... higjenicznych, przedstawia ją angielskiej parze królewskiej, wozi po świecie. I ma jeszcze jedną miłą zaletę: szybko umiera. Lady Owen zostaje wdową i stwierdza, że w żałobie jej jest niezwykle twarzowo...

Oczywiście — tem więcej, że liberalny mąż zostawia jej tylko pół miljona funtów spadku, z czułym dopiskiem w testamencie: „dla rozkapryszonej żony“. Lady Owen czuje się wolna — czuje się panią swego losu. W Londynie zaczyna być troszeczkę gorąco i nieprzyjemnie, bo... trudno być wierną cieniom swojego małżonka. Gdzież się schronić z purytańskiego Londynu, jak nie do Paryża? Lady Owen jedzie do Paryża, ażeby w lśniącej limuzynie, mknącej po asfalcie Lasku Bulońskiego przytulać swoją blond głowę do muskularnego ramienia jakiegoś Argentyńczyka, którego czarne oczy są jak tango...

Lady Owen nie potrzebuje liczyć się ani z pieniędzmi, ani... z kochankami. Jest bogata, więc ona wybiera mężczyzn. Urządza sobie życie estetycznie, rozdziela dzień pomiędzy modniarkę, instytut piękności, przejażdżkę autem, a czasami z nudów strzela sobie z rewolweru w ogrodzie swojej willi. Ostatecznie nigdy nie wiadomo, na co się może człowiekowi przydać jakaś umiejętność...

Przychodzi moda ochudzania się. Lady Owen przygląda się sobie w lustrze, zrzuciwszy z siebie jedwabne pozory zwane „combinaison“ i stwierdza z lekkiem ziewnięciem, że może jednak jest troszeczkę za tęga. A więc trzeba będzie się poddać małej kuracji odtłuszczającej. Jest w Paryżu bardzo solidny zakład, klinika dr. Gastaud. Znudzona lady Owen zaczyna chodzić do kliniki i stwierdza, że kuracja jest wysoce interesująca dzięki przemiłemu doktorowi Gastaud. Dr. Gastaud coraz mniej widzi w swojej pięknej pacjentce pacjentkę, a coraz więcej — kuszącą kobietę. Z lekarza staje się pacjentem, który potrzebuje leczenia i pocieszenia...

Zakwita romans. Lady Owen jest zachwycona swym kochankiem, czyni mu prezenty, kupuje mu kosztowności za 60.000 franków i więcej — stać ją na to. Ostatecznie, czemu zawsze mężczyzna ma czynić prezenty kobiecie?

Chociaż dr. Gastaud jest lekarzem, zapomina ze szczętem, że jest w medycynie pewna miła choroba, która nazywa się histerją. Nie zauważa, że Lady Owen straszy go macierzyństwem, uważając widocznie, że ten argument nie jest bynajmniej najgorszy, jeżeli chodzi o nastraszenie i związanie ze sobą mężczyzny. Jedyną ciemną plamą jest żona dr. Gastaud. Osoba ta jest na tyle niedelikatna, że nie ma zamiaru usunąć się z pola walki...

Wobec tego Lady Owen decyduje się z ciężkiem sercem pomóc jej w tem usunięciu. Znowu przypomina sobie swoje lekcje strzelania z rewolweru. Udaje się raz do pani Gastaud i w ciągu sprzeczki dramatycznym ruchem wyciąga rewolwer. Był to jednak tylko gest, gdyż rewolwer jest nie nabity, a pani Gastaud nie jest znowu tak bardzo bojaźliwa. Lady Owen jest aktorką — ma przyzwyczajenia ze sceny, na której zabija się skutecznie zwyczajną kabzlą. Spostrzega z niesmakiem, że w życiu trzeba jednak używać ostrych naboji... Więc powtarza swą próbę.

Tym razem idzie znacznie gładziej. Lady Owen strzela do żony dr. Gastaud pięć razy i to wcale celnie. Lekcje w ogrodzie nie poszły na marne.

Wreszcie ostatni akt dramatu: rozprawa. Lady Owen jest wytworną w każdym calu, to też zaprasza wszystkich swoich przyjaciół do sądu tak jak na herbatę, albo na ślub, specjalnem zaproszeniem. Jest doskonale ubrana, ma na sobie czarną suknię, klejnoty i modną woalkę do połowy twarzy. Pozuje z uśmiechem fotografom, czaruje sędziów dowcipem swoich odpowiedzi, słowem zachowuje się, jak w salonie. Nie zapomina ani na chwilę, że jest aktorką; gdy sędzia zapytuje ją, dlaczego strzelała do leżącej pani Gastaud, odpowiada:

— Gdy prawa ręka strzelała, lewa pytała ją z żalem: czemu to czynisz?

Ale sędziowie nie są recenzentami teatralnymi. Skazują Lady Owen na 5 lat więzienia.

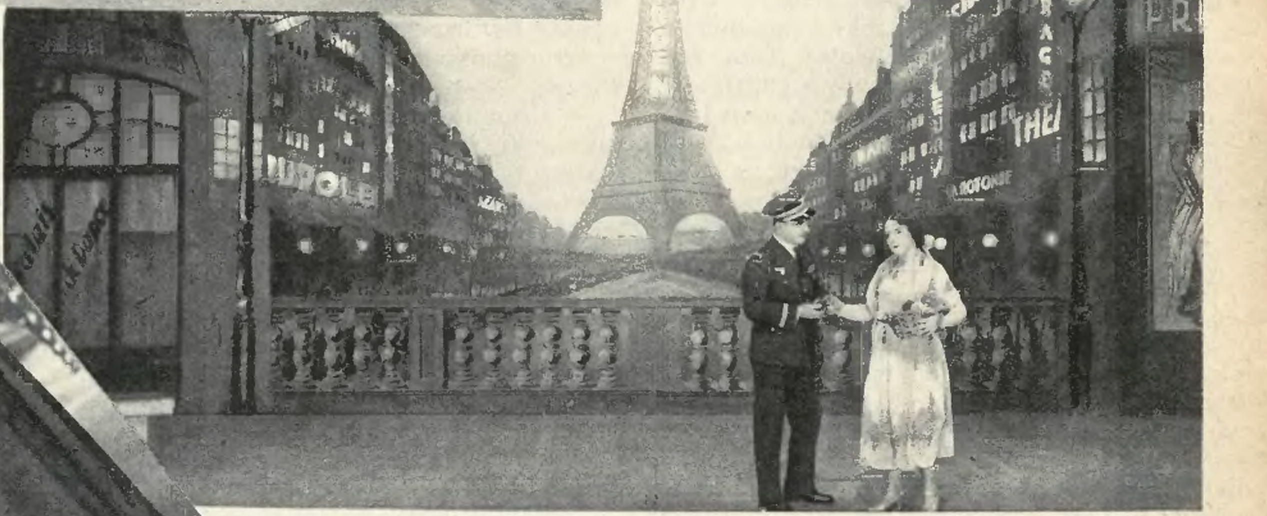
Oczywiście ze strony sędziów jest to brutalność i nietakt. Jakże wygląda życie w więzieniu przez 5 lat bez manicure, przejażdżki autem, kwiatów od przyjaciela, teatru, sukien od Wortha czy Paquina? Jakże strasznie nudne będą te dni w więzieniu, gdzie nie będzie można kaprysić i flirtować (wszyscy dozorcy są brzydcy i ponurzy...). Tylko mężczyźni mogą być tak bezmyślnie okrutni...

Ze scen



Pra-premjera „Młyna Djabelskiego“ w Poznaniu. Teatr Wielki w Poznaniu, w dziale operowym niejednokrotnie już przodujący w Polsce, nawet przed sceną stołeczną, wystawił ostatnio, jako pra-premjerę „Młyn Djabelski“ operę znakomitego kompozytora p. Ludomira Różyckiego. Ze wszystkich współczesnych polskich kompozytorów operowych, p. Różycki zwraca na siebie największą uwagę, nietylko u nas, lecz i zagranicą, gdzie n. p. jego „Eros i Psyche“ i balet „Pan Twardowski“ przeszły już próbę ogniową. W nowem swem dziele kompozytor kroczy niezwykle oryginalnym szlakiem, spożytkowując najbardziej nowoczesne motywy, nie pomijając nawet techniki filmowej. Toteż pierwsze przedstawienie „Młyna Djabelskiego“ w Poznaniu odbyło się w obecności licznego grona przedstawicieli świata muzycznego z Warszawy, Krakowa i Katowic, Podajemy tutaj na lewo scenę w wielkiej amerykańskiej agencji prasowej, śledzącej uważnie lot lotnika Allana ponad Oceanem. Kierownik agencji, którego odtwarza p. Roy, reporter (p. Warchalski) i sześć maszynistek tworzą obsadę tej sceny. Ilustracja dolna przedstawia scenę w Paryżu — na tle efektownej dekoracji pomysłu p. Dołżyckiego — z pp. Drabikiem (lotnik Allan) i Fedyczkowską (kwieciarką Arjana).

Fot. St. Markiewicz, Poznań.





Obok:

Premjera Teatru Narodowego w Warszawie. Z ostatniej komedji p. Adolfa Nowaczyńskiego p. t.: „O żonach złych i dobrych“, podajemy tutaj scenę pomiędzy pp. Ćwiklińską (Żaneta) i Solskim (kanonik Jackowski).

Fot. J. Malarski, Warszawa.



Premjera komedji Maszyńskiego. W poprzednim numerze podaliśmy portret popularnego artysty dramatycznego p. Maszyńskiego, który sięgnął obecnie także po laury literackie i podczas swej pierwszej komedji „Koniec i początek“ zbierał w Teatrze Małym w Warszawie rzęsiste oklaski podwójnie, bo jako autor i wykonawca jednej z głównych ról. Z komedji, która niewyszukanym humorem zyskała sobie powszechne uznanie, podajemy tutaj scenę pomiędzy od lewej ku prawej: pp. Modrzewską, autorem sztuki Maszyńskim, Fritschem, Małkowskim i Romanówną.

Fot. St. Brzozowski.



KROKI

Napisał
WITOLD ZECHENTER
Ilustrował
ALFRED ŻMUDA

DOKOŃCZENIE

Inka drżała, lecz słuchała z natężoną uwagą.

— Ma pan rację — szepnęła.

Artur nieco mniej pochopnie przyświadczył, że naturalnie taka teorja nie jest pozbawiona pewnej racji.

— O ile się nie mylę, pani krzyknęła przed chwilą, gdy wymieniłem słowo „kroki". Otóż chcę państwu zaznaczyć, że kroki i pukania to są dwa najczęstsze objawy hotelowe. Tutaj obserwuję od tygodnia, że codziennie o godzinie 7 wieczór ktoś czy coś puka do okna jadalni i jeśli zaraz biegnę tam i patrzę to nie dlatego, bym sądził, że zobaczę tam coś, ale dlatego, że zawsze chcę się upewnić, czy nie łudzę się — czy naprzykład nie puka jakiś wróbel czy wiatr, który porusza okiennicą, chociaż to też byłoby dziwne, żeby wróbel i wiatr pukały do tego samego okna codzień o tejsamej godzinie. Zawsze, gdy napotkam w hotelu na jakiś dziwny objaw, staram się go zbadać rozmaitemi sposobami — potrzebne to mi jest do mojej statystyki... Żyję teraz wyłącznie w hotelach... Przekonałem się naprzykład, że pokoje, w których popełniono samobójstwo, mają raczej szeptowe objawy — tłumacze to tem, że ostatnie myśli konającego wyrażone były w strasznym wysiłku szeptem. Tam zaś, gdzie popełniono morderstwo, objawy są głośniejsze — często w formie pukania... Mordowany wzywał pomocy — duszony pukał ostatkiem sił w podłogę, czy w ścianę. Dlatego wnoszę, że tutaj popełniono morderstwo — naturalnie nie mógłbym na to dać słowa... Daleko trudniejsze do wybadania są inne objawy. Posiłkując się książką hotelową i kronikami policyjnemi można odszukać, że właśnie w tym hotelu i w tym pokoju popełniono takie a takie morderstwo czy samobójstwo. Jeżeli jednak chodzi o rzeczy, które nie dostają się do kronik policyjnych? które nigdzie nie są zapisane? Rzeczy, o których nie wie nikt poza tym nieznanym nam lokatorem tego samego pokoju, który obecnie zajmujemy. Gospodyni tutejsza nie darzy mnie sympatją — coś przeczuwa i boi się, że jej odstraszę gości i za nic w świecie nie chce mi pokazać książki hotelowej, co naturalnie w zasadniczy sposób utrudnia, wręcz uniemożliwia mi dociekanie źródła i powodu owego objawu w sali jadalnej... Dlatego chętniej zająłbym się tamtą sprawą, jeśli państwo pozwolą..

— Którą? — spytał nierozumiejąc Artur. Słuchał on cały czas chciwie dziwnej opowieści starego — fascynowała go, niemniej zresztą, jak Inkę, która zupełnie nie odczuwała już uczucia strachu.

— Tą, na ślad której wpadliście państwo — jak wnoszę z owego okrzyku pani — kroki są zawsze bardzo ciekawe...

Artur popatrzał podejrzliwie na dziwnego człowieczka — ów zaś roześmiał się:

— Czemu patrzy się pa na mnie tak nieufnie? Okrzyk pańskiej małżonki poinformował mnie o tem, że coś przeżyliście — zapewne niedawno — w jakimś hotelu — teraz już się pani uspokoiła, ale przedtem była pani bardzo podenerwowana — lecz, proszę państwa, faktycznie — tu się niema czego bać... Objawy te trzeba brać z punktu widzenia powiedziałbym nawet naukowego... Więc powiecie mi państwo, co się wam przytrafiło?

Artur nie widział powodu, by nie opowiedzieć nocnej historji. Lapre słuchał z najwyższą uwagą.

— Więc kroki oddalały się w pańskich oczach?

— Tak... Patrzyłem w korytarz, oświetlony dwiema żarówkami — nie było absolutnie nikogo, niemniej jednak miałem doskonałe wrażenie, że ktoś się oddala...

— Bo oddalał się — zakonkludował stary. — To jest hotel?

— De la Republique — tu obok...

— Wiem. Pokój?

— Numer czternasty — w głębi korytarza, ostatnie drzwi...

— Dziękuję panu... Zaraz jutro tam się przeniosę. Państwo odjeżdżają?

— Jutro.

— Szkoda... Może zaciekawiłoby to państwa, gdybym znalazł rozwiązanie tej sprawy...

— A gdyby pan był tak łaskaw napisać nam? — poddała Inka, której ciekawość i niezmierne zainteresowanie wypaliły na twarzy ciemne rumieńce.

— Z największą przyjemnością! Jeśli tylko uda mi się trafić na ślad tej zagadki z przeszłości, napiszę o tem państwu.

Artur wręczył mu wizytówkę z adresem warszawskim. Pożegnali się.

Gdy rano zapytał gospodynię o dziwnego gościa, odparła:

— Chwała Bogu, wyniósł się wcześnie rano...

Minęły miesiące. Tak Inka jak Artur powoli zapominali o niesamowitej przygodzie paryskiej. Ułożyły się ich wspomnienia tylko w szept wiatru po falach morskich, w szelest sprężystych liści palm Riwjery. A żaden list od Lapre'go nie nadchodził. Byli już bliscy zupełnego zapomnienia, tembardziej, że rozmyślnie jedno przed drugiem nie poruszało nigdy tego tematu.

Aż pewnego dnia nadszedł list...

Artur rzuciwszy okiem na znaczki francuskie, domyślił się odrazu.

— Lapre...

Czytał:

„Drodzy państwu — pisał Lapre — jestem wam winien wielką wdzięczność za opowiedzenie mi waszej przygody w hotelu de la Republique. Zdaje mi się, że odgadnę tę zagadkę.

Otóż mieszkałem w owym pokoju przez czas dłuższy i słyszałem tesame kroki, które słyszeliście państwo. Studjowałem je. Pozostawałem nieraz całą noc w korytarzu — kilkakrotnie podczas nocy mijały mnie kroki, podchodziły regularnie pod drzwi numeru 14, stały trochę jakby nadsłuchując i oddalały się. Gdy mijały mnie, odczuwałem jakby lekki chłód, o którym i pan wspominał. Kilkakrotnie starałem się zabiec im drogę — niezmiennym rytmem przechodziły jakby mnie wcale na ich drodze nie było. Przychodziły nieodmiennie bez względu na to, czy w pokoju było ciemno, czy też świeciło się światło, które rozmyślnie zostawiałem. Te i kilka jeszcze innych danych, któremi nie będę przedłużał mego listu, upewniły mnie, że mamy tu do czynienia z halucynacją kogoś, który słyszał owe kroki w gorączce, jakiejś chorobie czy jakichś transach nerwowych i odczuwał je tak silnie, że pozostawił tę siłę swego odczuwania na długo potem zamkniętą w tym pokoju i korytarzu.

Powziąwszy w tym kierunku przypuszczenia, począłem wypytywać służbę i gospodarza bardzo dalekiemi ogólnikami. Po długich perswazjach udało mi się wydostać książkę hotelową. — Od chwili założenia hotelu de la Republique, to znaczy od ośmiu lat, w pokoju numer 14 mieszkało tylko 53 osoby — pierwszy zajmował ten pokój pewien profesor włoski przez blisko dwa lata, potem przez trzy lata zmieniały się osoby mieszkające po parę miesięcy. Ostatnia, Gabby Derney, z Londynu. Po jej odjeździe pokój zaczyna zmieniać lokatorów bardzo prędko — najdłużej zamieszkują go przez tydzień — są długie okresy, w których stoi pusty — „remontowaliśmy go" — tak twierdzi gospodarz. Naturalnie nie wierzę mu nic a nic — on wie coś, o czem mi nie chce powiedzieć, chociaż zapewniam go, że zostawię to przy sobie — boi się, bym mu nie wystraszył gości i wiem, że w głębi duszy dziwi się, że tak długo mieszkam w owym fatalnym numerze...

Idąc drogą prostego rozumowania wziąłem sobie za pierwszy punkt mojego zainteresowania się osobę owej pani Derney. Przez wielkie biuro wywiadowcze Terringsona w Londynie zdołałem trafić na jej ślad. I wie pan, co owa pani teraz porabia? Od chwili swego powrotu z Paryża przed około trzema laty przebywa w szpitalu dla obłąkanych... Początkowo leczono ją w klinice prywatnej — obecnie — od blisko dwu lat — przebywa w zakładzie dla nieuleczalnie chorych.

Jestem więc na tropie wspaniale zajmującej sprawy. Jadę dzisiaj do Londynu. Stamtąd nie omieszkam donieść państwu o tem, co uda mi się tam zdobyć.

Zapomniałem państwu zaznaczyć, że dokładnie policzyłem te kroki: zaczynają one być słyszalne trzy kroki przed zakrętem korytarza od schodów — następnie jest ich w prostej linji korytarza 16 ściszonych dywanem i 2 głośniejsze, pod samemi drzwiami, gdy dywan się kończy — nadsłuchują około 1 i ½ minuty — robią jakby w tył zwrot i znów 2 kroki głośne, 16 cichych do zakrętu i 3 za zakrętem — poczem nagle przepadają. Okazuje się z tego, że pozostały one w tej formie, w jakiej były słyszalne przez p. Derney.

Cela jej znajduje się w korytarzyku, którego długość wynosi osiem kroków — następnie zakręt i bardzo długi korytarz — cały wyłożony jest linoleum pod same drzwi celi. Warunki więc zupełnie inne, niż w hotelu de la Republique — a jednak Gabby Derney słyszy owe kroki stale jednako, jak można to łatwo zauważyć, gdyż bardzo często liczy je. Mówi wtedy, a groza wzrasta na jej twarzy:

„Już idą — mijają zakręt — ra, dwa, trzy — liczy tak aż do szesnastu, poczem doznaje najwyższej trwogi szepcąc: — Raz, dwa — są to owe dwa kroki głośne w miejscu, gdzie w hotelu de la Republique kończył się dywan — potem szepce: — Odchodzi! — i z ulgą najwyższą liczy 16 kroków do zakrętu, mówi: — Skręcają... raz, dwa, trzy... Odeszły!!"

Potem zapada w monotonję i bezwład myślowy, siedzi bez ruchu aż do następnego przyjścia kroków.

Doktór, który się nią opiekuje, nie może mi nic powiedzieć, na jakiem tle powstała u niej ta manja — rodzina i poprzedni lekarze także nic nie wiedzą — pojechała do Paryża zdrowa, wróciła chora... Ów lekarz eksperymentował z nią między innemi w ten sposób, że część korytarza wyścielał dywanami i głośno kazał chodzić pomocnikowi — ale chora wogóle nie reagowała na te kroki — nieraz zdarzało się, że słyszała te swoje kroki w normalnej formie podczas trwania próby lekarza.

Jest to bardzo miły stary doktor — nazywa się Smithers — powiedziałem mu naturalnie, czem się zajmuję i dałem mu wiadomości o pokoju numer 14 w hotelu de la Republique. Zaciekawiło go to niesłychanie, że kroki te są słyszalne tak wyraźnie przez inne osoby — przez wszystkich jego lokatorów, jak jestem tego pewny — i wybiera się do Paryża celem sprawdzenia tego i wychwytania ewentualnie jakiegoś psychjatrycznego momentu, któryby pomógł mu w leczeniu pani Derney, w której uzdrowienie już zwątpił.

Co do mnie na własną rękę usiłuję trafić do jej mózgu — rozwiązać zagadkę powstania jej manji, której siła jest tak wielka, że przez lata całe udziela się zdrowym ludziom, skoro tylko znajdą się w tym fatalnym pokoju. — Narazie jednak wszystkie usiłowania moje spełzają na niczem. Nie tracę otuchy — qui vivra — verra!

Gdy tylko postąpię naprzód choćby o krok, doniosę państwu, sądzę bowiem, że jesteście tą sprawą zainteresowani".

— Znów nie podaje adresu — rzekł po długiej chwili Artur — nie możemy mu podziękować...

— Biedna Gabby Derney! — szepnęła Inka i rozpłakał się...

Mijały tygodnie — i list nie nadchodził. Mijały miesiące — Lapre milczał.

Czy w tym roku na urlop wybrali sobie Ostendę podświadomie dlatego, by być bliżej Paryża? Nie mówili o tem — mało wspominali o Lapre'm i o Gabby Derney — Inka zawsze denerwowała się bardzo, gdy mówili o tym niesamowitym temacie. Ale właśnie Inka zaproponowała wycieczkę do Paryża — to tak blisko: kurjerem z Ostendy niecałe cztery godziny!

— I może dowiemy się tam czegoś o Lapre'm — dokończyła.

Zgodził się i zaraz po przyjeździe, gdy Inka położyła się na krótki odpoczynek po podróży, pojechał do hotelu de la Republique.

— Pan Lapre? — odparł gospodarz patrząc dziwnie na Artura — mieszkał u nas — potem dłuższy czas przebywał w Londynie — wrócił tu znów — znów wyjechał do Anglji — i ostatnio mieszkał tutaj przez dwa tygodnie. Wyprowadził się cztery dni temu.

— Dokąd?

— Nie wiem — odparł gospodarz sucho.

Artur odczuwał, że gospodarz nie chce powiedzieć mu czegoś, o czem wie — czegoś przykrego, może tragicznego...

— Umarł?

— Ach, nie!

— Zachorował?

— Tak, nie czuł się dobrze...

Nalegania poparte banknotem zrobiły swoje...

— Pan Lapre — opowiadał gospodarz — przez te ostatnie dwa tygodnie zachowywał się dziwnie — prawie nie opuszczał pokoju numer 14, w którym mieszkał — wreszcie musiałem zawiadomić lekarza, gdyż krzyczał po nocy, wył i jęczał — zdawało mu się, że słyszy jakieś kroki... Zabrano go do szpitala obłąkanych...

— Aa! — Artur słuchał pobladły. — Biedny Lapre!... Ale — zawołał po chwili — pan tego pokoju chyba nikomu już nie wynajmuje!

— Pan — wie?...

— Mieszkałem w nim przez jedną noc — to ja skierowałem tu Lapre'go...

— Tak, on chciał zbadać te kroki... Ja je także słyszałem nieraz... ale — co robić — hotel ten był jedynem mem utrzymaniem — teraz sprzedałem go i przenoszę się do mych rodzinnych stron, do Marsylji... Obecnie pokojem tym zainteresował się doktor Smithers z Londynu — nic mnie to już nie obchodzi — za parę dni nie będzie mnie już w tym przeklętym domu...

A więc do następnego listu z Londynu, w którym sądzę, że potrafię państwu donieść coś więcej!"

— Ciekawa historja — szepnął Artur przeczytawszy list.

Inka w zamyśleniu patrzyła w kopertę z znaczkami francuskiemi.

— Ile dziwnych rzeczy zdarza się w życiu — rzekła po chwili — o ilu z nich nic nie wiemy, dlaczego, skąd, jak...

Czekali niecierpliwie na list z Londynu. Po upływie dwu tygodni drżącemi rękami Artur otwierał list ze znaczkami angielskiemi, a Inka tuliła się w gorącem wzruszeniu do jego piersi.

„Drodzy państwo — pisał Lapre — zagadka kroków rozwiązana i nierozwiązana zarazem. Odszukałem w zakładzie dla nieuleczalnie chorych umysłowo panią Gabby Derney, zdobyłem sobie wstęp do niej i widuję ją codziennie. Jest to kobieta przystojna, w wieku trzydziestuośmiu lat, ma daleką rodzinę, która za nią płaci. Siedzi wciąż bez ruchu, nie można wydobyć od niej ani słowa, nic na nią nie czyni żadnego wrażenia. Kilka razy na dobę słyszy kroki — wtedy drży w panicznej trwodze, chce uciekać, czasem wtedy dostaje ataku furji, który jednak przechodzi momentalnie, gdy przestaje słyszeć kroki.



Gdy doktór Smithers wysłuchał opowiadania Artura, poinformował go chętnie o przebiegu spraw.

— Było to bardzo proste — rzekł pewnego dnia Lapre, przebywając w celi lady Derney, usłyszał tesame kroki i równocześnie z nią. Zwarjował. W tem niema nic dziwnego — jakże często lekarze-psychjatrzy warjują na tle warjacji swych pacjentów, lekarze, a cóż dopiero zwykli śmiertelnicy, nie potrafiący utrzymać stałej równowagi w tem bezdnie szaleństwa poszarpanych myśli, jakiem jest warjactwo. Chciałem go zatrzymać — ale uciekł, poprostu uciekł — odszukałem go tutaj, niestety, zapóźno.

— Czy pan doktór słyszy tutaj te kroki?

— Tak, wszyscy je muszą słyszeć tutaj i mam wrażenie, że potrwa to aż do śmierci lady Derney — dopiero z skończoną pracą jej chorego i niezwykle silnego mózgu objawy tutejsze mogą się skończyć. Ale słyszeć te kroki tutaj — to nic dziwnego — natomiast usłyszeć tesame kroki gdzieindziej, to już warjactwo...

Arturem wstrząsnął dreszcz... Doktór Smithes zauważył to.

— Radzę panu szczerze nie odwiedzać biednego Lapre'go — jest to szaleństwo niesłychanie sugestywne, tem groźniejsze, że nie znamy jego powodów, nie wiemy więc, jak się zabrać do jego leczenia. Pan jest bardzo podatny — o ile mi się zdaje — niech pan zapomni o tym hotelu, o lady Derney. To moja rada!

Artur i Inka wyjechali z powrotem do Belgji, by spędzić tam resztę urlopu. Postanowili sobie nigdy nie poruszać tematu nieszczęsnego hotelu de la Republique.

Ale temat ten wrócił do nich sam z siłą dramatu. Przeglądając pewnego dnia jakieś pismo, wyczytał Artur tytuł trzyszpaltowy:

„ROZWIĄZANIE PONUREJ TAJEMNICY GABBY DERNEY".

Następowały sensacyjne podtytuły i w końcu wywiad z doktorem Smithersem.

Gabby Derney umarła w ataku serca podczas jednego z cyklu wiecznych objawów szaleństwa: kroków. Pochowano ją na małym cmentarzu podlondyńskim niedaleko od własności ziemskiej jej krewnych. Na trzeci dzień po jej pogrzebie krewni zmarłej otrzymali list, który oddali do dyspozycji policji.

W liście tym anonimowy autor podał straszne szczegóły z życia zmarłej. Kochali się przez długie lata — o tej miłości nikt nie wiedział — byli zupełnie szczęśliwi... Potem zdradziła go... Błagał, by powróciła, chciał jej wszystko przebaczyć — wyjechała z tamtym w niewiadomym kierunku. Poprzysiągł więc jej straszną zemstę — za to, że zniszczyła mu życie, on odpłaci jej temsamem. Gdy wreszcie odnalazł jej ślad, była wtedy znów w Londynie, znów sama i wybierała się do Paryża. Pojechał za nią i śledził ją — zamieszkał w tym samym hotelu de la Republique. Zaraz pierwszej nocy zakradł się pod jej drzwi, słyszała jego kroki i czuł, że boi się. Wtedy przyszedł mu na myśl szatański pomysł — co parę chwil w ciągu tej nocy podchodził niezmiennym krokiem pod jej drzwi... Słyszał jej lęk, jej jęki... Powtarzał to w ciągu paru dni... Jak zahypnotyzowana nie miała sił wyprowadzić się z tego hotelu. I tak trwało do dnia, w którym opanował ją szczytowy rozstrój nerwowy. Wykorzystał ten moment. Wtedy stanął przed nią, będącą u kresu nerwów, na granicy warjactwa i powiedział jej, że czeka ją śmierć, że pewnego razu kroki jego zemsty zadadzą jej śmierć okropną... Zwarjowała — i jego zemsta się dopełniła. Za zmarnowane życie — zmarnowane życie. Kobieta niema prawa zabijać życia mężczyzny, który ją kocha — oto zemsta.

W dalszym ciągu artykułu wyczytał Artur, że wszczęto śledztwo za owym strasznym człowiekiem, któremu nie można jednak było odmówić racjonalności i prawa zemsty. Nazwisko jego uzgodniono na podstawie książki hotelu de la Republique w Paryżu — przyjechał i odjechał równocześnie z lady Derney niejaki Adam Adamson z Londynu. Narazie jednak poszukiwania za nim pozostają bez skutku.

W zakończeniu sensacyjnego artykułu dziennik zamieścił wywiad z doktorem Smithersem, w którym ten opowiedział wszystko, co tyczyło się pobytu lady Derney w jego zakładzie, a także zestawił z tym wypadkiem sprawę Lapre'go.

W ten sposób rozwiązała się tajemnica strasznych kroków w hotelu de la Republique. Adam Adamson zniknął bez śladu

Nieraz po latach całych dreszcz nagłej zgrozy wstrząsnął Inką, gdy przypomniała sobie o krokach, o Lapre'm...

— Nie bój się — żartował Artur — ale pamiętaj: gdy będziesz dalej flirtować z Józkiem, zrobię z tobą tosamo, co Adamson z Gabby...

I kończyło się na okropnej awanturze, którą Inka robiła mężowi, że wcale z Józkiem nie flirtuje i na czułych wzajemnych przeprosinach.

KONIEC.

NOWE POLSKIE PRZEBOJE FILMOWE



„Wielkomiejski mrok“. Już został sfilmowany. Zdjęcia wypadły doskonale. Główne role odtwarza czeska gwiazda B. Livia i bohaterski amant Tom Breza, a obok nich: I. Krasna, St. Nowicka, M. Chaveau, Zofja Ginterówna, St. Szwarc, L. Owron, E. Puchalski, J. Krzewiński, J. Sienkiewicz, P. Owerło i H. Rzędkowski. Reż. Bredsznajder i St. Szwarz. Operator A. Wawrzyniak, kier. produkcji. E. Lisowski.



Tomasz Breza w roli amanta w filmie „Wielkomiejski mrok“



W kole: **Zofja Ginterówna,** która zadebiutowała w „Wielkomiejskim mroku“.

„Krwawy wschód“. Reżyser Jan Nowina-Przybylski pozyskał do swego filmu „Krwawy wschód“ uroczą artystkę-śpiewaczkę Emmę Szafrańską (na zdjęciu), uczenicę Janiny Korolewicz-Waydowej. Partnerami świetnej aktorki są: Mieczysław Cybulski i Tadeusz Ordegg. Operator: Vlasak, kier. produkcji: E. Gielba.

Poniżej: **„Uwiedziona“.** Najnowszy film-dźwiękowiec reż. M. Waszyńskiego (kier. prod. dyr. J. Rosen) wg. scenarjusza A. Sterna „Uwiedziona“ został już sfilmowany. Główne role odtwarzają: Marja Malicka, K. Ankwicz, K. Junosza-Stępowski, Z. Sawan, T. Olsza, Cz. Skonieczny, T. Wesołowski, Sielański, M. Pflanz, Ziembiński i Ziejewski. Na zdjęciu wesoła trójka: Ziejewski, Sawan i Wesołowski.





„Wielkomiejski mrok“. Zofja Ginter, Lech Owron, Irena Krasna i Paweł Owerło, dadzą koncert gry filmowej w tej efektownej scenie. Wśród tego kwartetu Owerło posiada wyrobioną markę jako niezrównany starszy pan, zawsze mile widziany w roli dobrotliwych ojców i wujów, Lech Owron jest młodym amantem, a Krasna i Ginterówna czarują urodą i młodością.



Nowa rola Contiego. Francuski film „Robin“ posiadać będzie część polskiej wersji reżyserji J. Leytesa. W filmie tym Witold Conti (na zdjęciu) odśpiewa polską pieśń, a inne role odtworzą: B. Samborski i J. Węgrzyn.

KONIE SŁONECZNE

NAPISAŁ BRUNO WINAWER.

Obywatel poważny i stateczny nie chce być „królikiem doświadczalnym", nie uznaje prób i eksperymentów i... nie lubi wynalazków. Je gęś z jabłkami, kaczkę z kasztanami, pije wódkę, pędzoną z żyta i piwo, pędzone z jęczmienia, bo to są rzeczy pewne, wypróbowane, znane. Owa wiecznie niespokojna technika, która dziś wprowadza światło gazowe, a jutro je zamienia na elektryczne, buduje lokomotywy parowe, a nazajutrz je zastępuje motorami wybuchowemi, budzi w nim nieufność. „Coś mi się tu, panie dobrodzieju, nie podoba".

A jednak — w czasach odległych nawet ogień, na którym tę gęś pieczemy, był *wynalazkiem*, jacyś nieznani, genjalni ludzie odkryli fermentację i wydobyli alkohol ze zboża. Legendy greckie mówią przecież bardzo pochlebnie o niejakim Prometeuszu. Jeżeli się nad sprawą zastanowić głębiej, był to właściwie Edison epok zamierzchłych, pierwszy chemik i pierwszy inżynier... tworzył termodynamikę!

To prawda — mówi obywatel po namyśle — ale w owych epokach minionych technika nie hałasowała tak strasznie, nie dymiła tak fatalnie, nie zatruwała powietrza wywiewami, pyłem węglowym, nie kopciła, nie smoliła! Świat dziś jest czarny od sadzy, w miastach fabrycznych tchu nie można złapać, tonny sproszkowanego węgla fruwają pod nieszczęsnem niebem.

Racja, święta racja. Ale ze słuszności tych zarzutów najlepiej sobie zdają sprawę wybitniejsi technicy. Ulepszają kominy, ruszty, paleniska, badają, sprawdzają, kalkulują w laboratorjach doświadczalnych. Hałas motoru i pył w powietrzu są błędami konstrukcyjnemi, niedomaganiami, które trzeba usunąć.

A przytem — nikt nie twierdzi, że nasze maszyny dzisiejsze są doskonałe, że ta ich forma teraźniejsza jest ostateczna, idealna, jedyna. Przeciwnie — maszynę parową mamy dopiero od marnych lat stu, naftę jeszcze w roku 1850 stosowano w Ameryce jedynie i wyłącznie w... zabiegach leczniczych. Ta ciecz oleista nawet w zwykłej lampce paliła się tak niechętnie, skwierczała i roztaczała woń tak nieprzyjemną, że handlowali nią tylko najubożsi tubylcy, Indjanie. Jakieś stare babiny zanurzały szmaty w rzekach Pensylwanji i wyciskały do wiader płyn, który sprzedawano w składach aptecznych. Dziś — najświetniejsze statki i najpiękniejsze Rolls-Royce'y karmią się oczyszczoną w rafinerjach naftą, wielkie mocarstwa toczą o nią wojny, Rockefeller obraca miljardami. Rzeki benzyny i gazoliny przepływają przez dudniące motory... Silnik Diesla zdobywa świat.

Czy tak będzie zawsze? Czy od tej chwili przez niezliczone wieki wszystkie większe osiedla ludzkie będą zlekka cuchnęły ropą?

Nie! w bardzo licznych wypadkach już dzisiaj technika obywa się bez kominów, pieców i wogóle bez przykrych procesów chemicznych. Amerykanie ustawili potężne turbiny przy cudownym wodospadzie Niagary — woda obraca koła, ruch mechaniczny wytwarza prąd elektryczny i miasta Buffalo, Rochester, Jamestown, Syrakuzy otrzymują energję *czystą*, nie zbrukaną sadzą i nie zalatującą odorem nafty. Na kongresach i zjazdach inżynierów najtęższe głowy radzą nad tem, jak siły wodne wyzyskać najlepiej; rzeki, ruczaje i strumienie otrzymały nową, trochę mniej poetyczną, chociaż trafną i piękną nazwę: *biały węgiel*. Ów biały węgiel odgrywa bardzo poważną rolę w naszem gospodarstwie, pracuje dzielnie w przemyśle, karmi i żywi przeszło czwartą część tych niezmordowanych miljonów koni mechanicznych, które na powierzchni globu galopują w „ujeżdżalniach", w fabrykach i centralach.

Przy wybrzeżu argentyńskiem, w zatoce San Jose, ma powstać podobno wkrótce wielka tama i tu znów ocean będzie obracał podczas przypływu i odpływu 376 turbin. Ocean znany jest w przemyśle pod nazwą zielonego węgla. Próbowano go ujarzmić już dawniej, ale dopiero przedsiębiorcza technika dzisiejsza wpadła na pomysły właściwe, praktyczne i dała groźnemu Trytonowi posadę, obmyśliła mu zajęcie pożyteczne.

Nie zapomnieliśmy nawet o orkanach i huraganach. Instytuty aerodynamiczne wynalazły nowe formy śmig, wiatraków i teraz ów wicher, co po stepie hula, wytwarza w przewodnikach i kablach prądy elektryczne, ładuje akumulatory, oświetla domy i obraca koła w warsztatach. Zarejestrowano go również pod zmienionem nazwiskiem w wykazie pracowników technicznych. Ale nie poddawajmy się uroki słów.

Wszystkie owe węgle białe, błękitne, zielone, lazurowe są poprostu nędznemi okruchami wszechobecnego, życiodajnego, dostojnego *węgla złotego*, czyli słońca. Rzecz zastanawiająca — te same promienie, które w Zakopanem zabarwiają skórę bladego mieszczucha na kolor brunatny, sprawiły, że rzeki płyną, oceany niosą ciepłe fale pod biegun, wichry wieją, że złoża antracytu powstają, że wogóle ruch i życie istnieją na ziemi. Fizycy wyliczyli, ile to kilowatów otrzymujemy co minuta gratis i franko w formie energji świetlistej i wypisują jakieś cyfry, od których w głowie się mąci...

Skoro tak jest — pomyśleli sobie ci i owi — skoro słońce jest najlepszym, najprawdziwszym „węglem", dlaczegóżbyśmy tego paliwa nie mieli rzucić wprost pod kotły naszych machin? Nafta, drzewo, koks — dlaczego mamy jechać do Rzymu na karczmy babińskie?

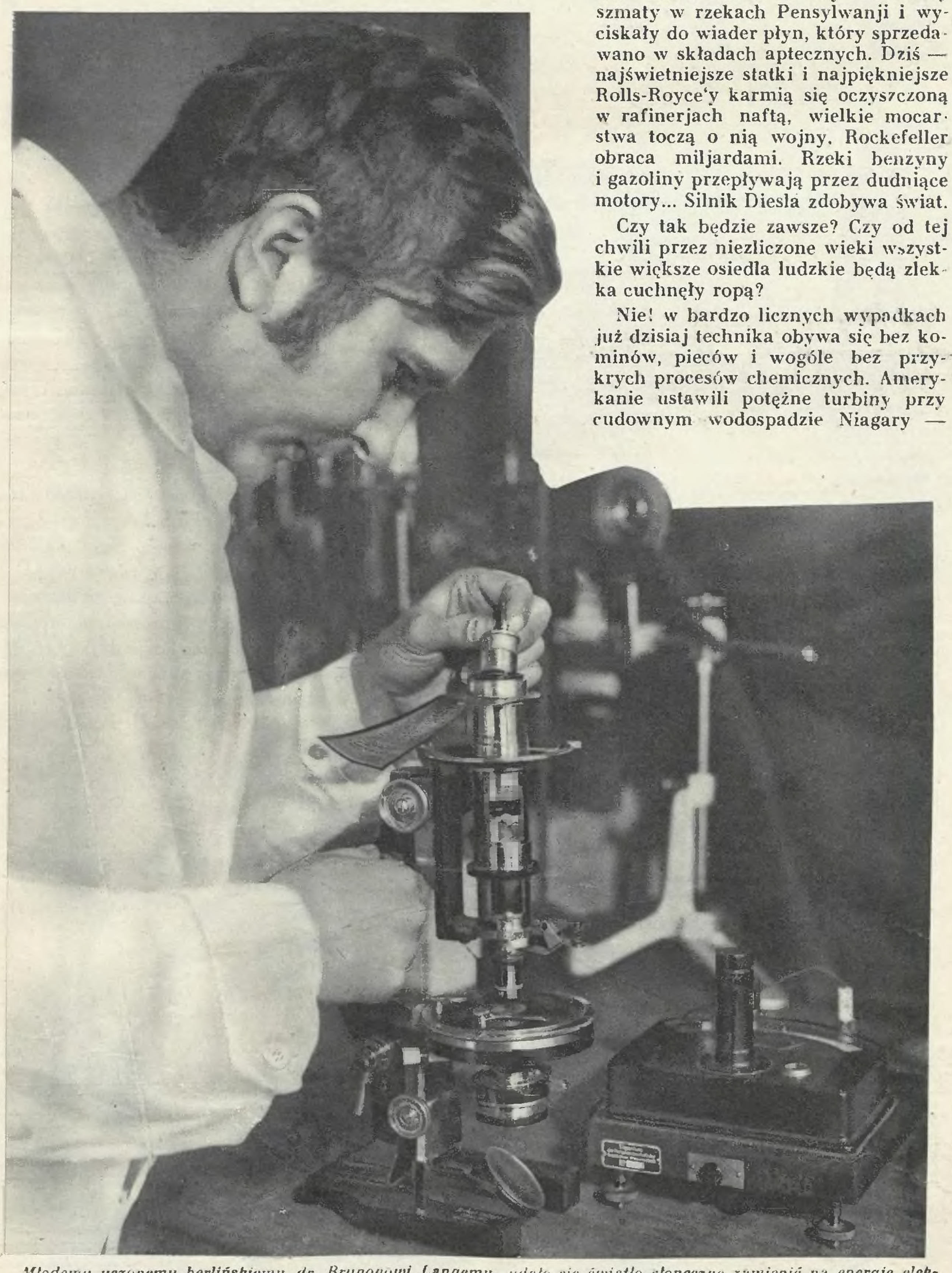
Istnieje kilka różnych sposobów chwytania energji słonecznej na gorącym uczynku: możemy wklęsłemi lustrami ogrzewać wodę w kwarcowych naczyniach, możemy wytwarzać prądy termoelektryczne. Możemy wreszcie — jak to czyni doktór Przybram w mojej własnej powieści fantastycznej — nasycić energją słoneczną sztuczne „fosfory" — proszki — i sprzedawać światło na wagony i kilogramy.

Sprytni wynalazcy współcześni znają te metody i obmyślili jeszcze kilka innych, nowych. Kto wie — może już wkrótce powstaną wielkie centrale w Egipcie i w Marokku, a okolice Martwego morza nanowo się ożywią. Słońce będzie energją elektryczną nabijało akumulatory (trzeba je oczywiście wynaleźć, typ dzisiejszy jest nieodpowiedni) — i te naładowane flaszki i blaszanki rozsyłać będziemy po całej ziemi. Piec, ruszt, komin staną się dziwowiskiem i zabytkiem muzealnym, jak kaganek i lampka oliwna

Manchester i Łódź nie zawsze tak będą wyglądały, jak dziś wyglądają. Dym, brud, swąd, kopeć są zjawiskiem przejściowem, przemijającem.

Nasze maszyny dzisiejsze oparte są na pewnym procesie chemicznym, ale może już jutro zamorusane konie mechaniczne zamienią się na piękne „konie słoneczne"...

Trzeba się z tem pogodzić, że dzieła młodej techniki zmieniają wciąż jeszcze treść i formę. Rolls-Royce'y, Hispano-Suizy, hydroplany Curtissa — za lat sto będą prawdopodobnie śmiesznemi, groteskowemi landarami z epoki naiwnych pomysłów... Cóż na to poradzić...



Młodemu uczonemu berlińskiemu dr. Brunonowi Langemu, udało się światło słoneczne zamienić na energję elektryczną. Chociaż narazie jeszcze wynalazku tego nie można zużytkować dla celów technicznych, to jednak otwiera on nową epokę w dziejach ludzkości i posiada znaczenie, nie dające się w obecnej chwili określić. — Na zdjęciu dr. Lange w swem laboratorjum w Instytucie cesarza Wilhelma w Berlinie. Presse-Photo, Berlin.

REZERWAT LEŚNY w SĄDECZYŹNIE



Olbrzymia jodła w lasach w Nawojowej koło Sącza.

Beskidy sądeckie kryją w głębi swych dolin niezwykłą atrakcję dla każdego miłośnika przyrody: resztki prawdziwej, nienaruszonej przez człowieka puszczy karpackiej, takiej, jaką opiewa Wł. Orkan w swem nieśmiertelnem arcydziele „Drzewiej". Zachowały się do dziś dnia dość znaczne jej przestrzenie, a najpiękniejsze skrawki mają być zachowane po wsze czasy dzięki hr. Adamowi Stadnickiemu, który w swych dobrach nawojowskich i ryteskich utworzył 4 rezerwaty leśne, wyłączone od wszelkiego użytkowania, o łącznej powierzchni kilkudziesięciu hektarów.

Najlepiej zachowały się lasy między 700 a 1000 m nad powierzchnią morza, w obrębie t. zw. regla dolnego. Jest to przyrodzona dziedzina buka i jodły, które też stanowią główne składniki lasu. Obok nich spotyka się świerki, jawory, oraz bardzo rzadko wiąz górski. Drzewa te nie rosną nigdy w zwarciu tak gęstem, jak w lasach sztucznych, sadzonych przez człowieka. Jest to cecha



Fragment z Beskidów sądeckich.

Photo-Plat — Warszawa.

charakterystyczna puszczy, podobnie jak jej różnowiekowość: obok młodziutkiego nalotu spotyka się w niej drzewa najrozmaitszych rozmiarów aż do sędziwych olbrzymów o 44 metrowej wysokości i 6-metrowym obwodzie pnia. Na ziemi leżą butwiejące kłody drzew, obalonych wiatrem oraz gruba warstwa ściółki, której tu nikt nie grabi, a której rozkład wzbogaca glebę w składniki odżywcze.

Wiosną, gdy nieulistnione korony buków przepuszczają dużo światła, dno puszczy wygląda miejscami jak najcudniejszy, kwietny ogród. Białe i purpurowe kokorycze, białe i żółte zawilce, purpurowy żywiec, białe przebiśniegi, układają się w barwną mozaikę, nieraz na przestrzeni setek m². Później kwiatów już znacznie mniej, choć nie brak ich aż do końca lata. Niby strop wznoszą się nad niemi kopulaste korony buków, odcinając się soczystą zielenią od ciemniejszego tła jodeł. Tu i ówdzie rozrzucone są wśród nich wyspy naturalnych świerczyn o zupełnie odmiennej roślinności, złożonej z paproci, widłaków i dziwacznych, bezzieleniowych storczyków.

Bujnej florze odpowiada bogaty świat zwierzęcy. Prócz zwykłych mieszkańców naszej knieji, żywią lasy Sądeczyzny wcale liczne dziki, a nawet tak rzadkich już u nas drapieżców, jak ryś i żbik. Czasem, choć wyjątkowo tylko, zabłądzi w te strony nawet sam król puszczy karpackiej, niedźwiedź.

W rezerwatach hr. Stadnickiego zachowany zostanie dla przyszłych pokoleń skarb bezcenny: skrawek pierwotnego krajobrazu dolnego regla karpackiego w całej swej potężnej, dzikiej piękności. Dla nauki zaś zarezerwowaną zostanie na zawsze możność badania życia górskiego lasu w warunkach zupełnie naturalnych, niezakłóconych przez gospodarkę ludzką. To też imię twórcy tych rezerwatów zapisze społeczeństwo we wdzięcznej pamięci.

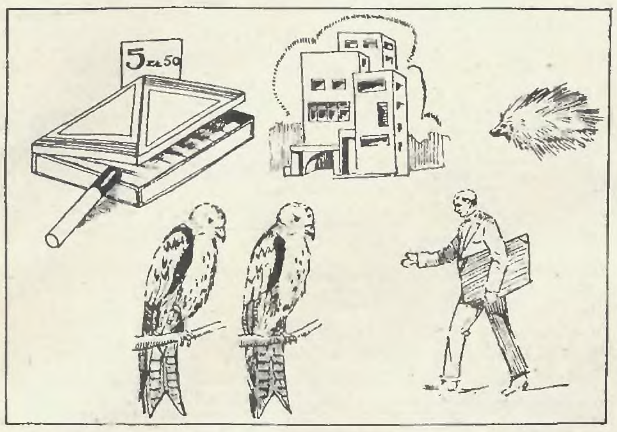
Doc. U. J. dr. B. Pawłowski.



DZIAŁ ROZRYWKOWY

Rebus

Ułożył Z. Tietz. — Rys. J. Stratiłato. — Klub Szaradzistów Warszawa.



Za rozwiązanie niniejszego rebusu redakcja „Swiatowida“ przeznacza

cztery nagrody.
Pierwsza zł. 50·—, trzy następne po zł. 25·—

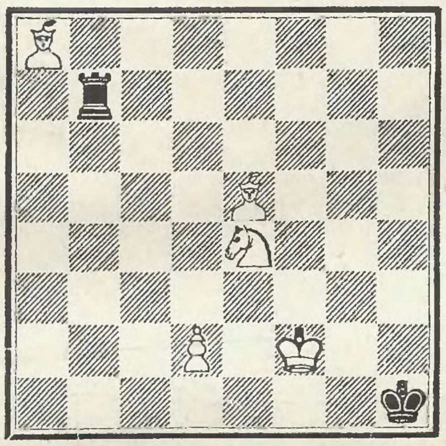
Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 7-go marca 1931 wraz z załączonym kuponem.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

H. A. Russel („British Chess Magazine“ 1930.

Czarne: Kh1, Wb7 (2).



Białe: Kf2, Ga8 e5, Se4, piony: d2 (7).
3-chodówka. 5+2=7.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki H. A. Russela: 1. d4!
I. 1... W—b2 2. S—d2 i 3×.
II. 1... W—f7 2. S—f6 i 3×.
III. 1... W—a7 2. G—d5 i 3×.
IV. 1... W—b8 2. G—d5 i 3×.
1. S—g3? K—h2!

PARTJA

Białe: **A. S. Macht** Czarne: **F. D. Yates**
grana na Olimjadzie w Hamburgu w r. 1930.

Gambit hetmana.

1. d4 S—f6	19. GVe4 d×e4
2. S—f3 e6	20. g×f5 **(4)** e×f5
3. c4 d5	21. S—e2 g5 **(5)**
4. S—c3 Sb—d7	22. K—h2 h6
5. G—g5 G—e7	23. W—g1 G—e6
6. e3 0—0	24. h4! g4 **(6)**
7. W—c1 e6	25. S—f4 H—h4 **(7)**
8. H—c2 W—e8	26. W—h3! H—g5
9. G—d3 S—f8 **(1)**	27. W—h5 H—g7
10. 0—0 S—h5	28. K—g3! K—g8
11. G×e7 H×e7	29. Wg—h1 K—f7
12. S—e5 g6 **(2)**	30. d5 H×d5
13. f4 f5	31. c×d5 H×e5
14. W—f3 Sh—f6	32. d×e6 W×e6
15. h3! Sf—d7	33. H—b3 Wa—e8
16. g4 K—h8 **(3)**	34. W×h6 **Czarne poddały się.**
17. W—g3 S×e5	
18. f×e5 S—e4	

UWAGI:

(1) Zanadto passywnie! Należało grać 9.... d×c4 10. G×c4 S—d5 11. G×e7 H×e7.

(2) Jeżeli: 12... f6, to 13. G×h7!? S×h7 14. S—g6 H—f7 15. g4, albo: 15... e5 16. g×h5 G—g4.

(3) Ogólna likwidacja byłaby korzystna dla Białych, np.: 16... f×g4 17. h×g4 S×e5 18. f×e5 S×g4 19. G×g6! h×g6 20. H×g6 21. H—g7 21. H×g7 K×g7 22. W—g3, poczem W×g4 Białe pozostają w końcówce z przewagą jednego piona.

(4) Właściwym planem, jak się później okaże (vide uwaga do 25 posunięcia Cz.) było 20. g5, a następnie 21. S—f4.

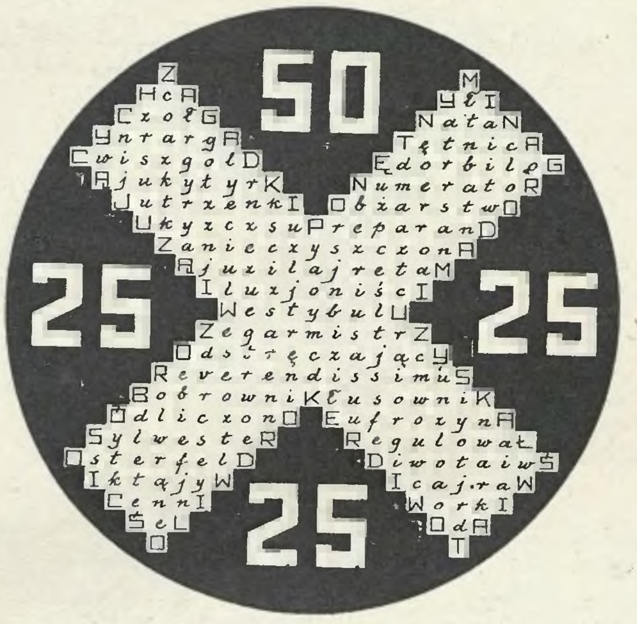
(5) Konieczne ze względu na groźbę: S—f4 g5 S—h5, poczem S—f6.

(6) Najlepsze. 24... g×h4 25. W—g6 H—h7 26. S—f4 G—f7 27. e6! G×g6 28. S×g6 K—g8 29. d5!
Lub: 24... W—g8 25. h×g5 h×g5 26. W—h3 K—g7 27. d5 c×d5 28. c×d5 G×d5 29. S—f4.

(7) Błąd, charakteryzujący nierówną grę championa angielskiego. Grając teraz 25.... H—f7! mogły stworzyć Czarne bardzo trudną grę dla przeciwnika. Po posunięciu w partji następuje szybka katastrofa.

KUPON do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek w N-rze 10 z dnia 7-go marca 1931 roku.

Rozwiązanie z Nr. 7



Ponętnemi nagrodami uzyskał „Światowid“ rekord ilości osób, rozwiązujących zagadki.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 7 nadesłali:

Lili Pleskaczówna, Stryj; L. Domański, poczta Kowal; Zofja Cegielska, Warszawa; Leon Finkel, Ostrów n. Horyniem, Jadwiga Gapińska, Bydgoszcz; Janusz Piotrowski, Boksyce; Stefan Kornaszewski, Jarosław; St. Maltze, Warszawa; Jadwiga Kubacka, Poznań; M. Marczyński, Kraków; J. Hechtel, Sambor, Tadeusz Sobolewski, Sądek; Józef Maćkowiak, Krzywin; Anna Piekosińska, Brzezowiec. D. Piekosińska, Brzezowiec, Ludomira Wróblewska, Inowrocław; **Zofja Zgliczyńska, Inowrocław (zł. 50);** Marja Sipowiczówna, Łunin; Zbigniew Kreglewski, Poznań; Wisia Winterówna, Poznań; Józef Rynarzewski, Poznań; Kaz. Brok, Dąbrowa Górnicza; Stefan Baetge, Świecie; W. de Lippa, Warszawa; Helena Opielińska, Środa; Józef Maziarz, Czorków; Ir. Drezner, Wilno; Makowski Czesław. Sosnowiec; Halina Sobkiewiczówna, Poznań; Marja Woytynowska, Bydgoszcz; Stefanja Szczygielska, Prokocim; Antoni Mikulski, Barkowice; **Sew. Szczepański, Kraków (zł. 25);** Stefan Effert, Poznań; Galewiczówna, Ozorków; Wacław Tyblewski, Poznań; Rózia i Tulo Neumann, Drohobycz; Krystyna Kowalska, Starogard; Z. Boulange, Baczków; Henryk Makarewicz, Ostrowiec; Franc. Green, Ostróg; Ks. Józef Welc, Kraków; M. Rappel, Augustów; Alfred Rotter, Kraków; Symonówna Eug, Kraków; Bolesława Kościelecka, Łunin; K. Wawrzynowicz, Brodnica; Roman Obtułowicz, Żywiec; Wojciech Siuta, Kołomyja; Stefan Sikorski, Łódź; Karol Pająk, Targanica; **Michał Pietrusiński, Brześć n. Bugiem (zł. 25);** J. Surma, Białystok; S. Kaczkowska, Ostróg Pozn.; H. Janicka, Gdynia, Aniela Kolasińska, Tarnobrzeg; Janina Trznadlowa, Zakopane; Henryk Silczyński, Warszawa; Halina Mieczyńska, Chełmica; Adam Poinc, Gostyń; Jan Grzęda, Gniezno; **Juljan Darmas, Łask, woj. Łódzkie (zł. 25);** Edward Wysocki, Wilno; Kazimierz Koszko, Zakopane; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; Zofja Ciszkiewiczowa, Poznań; Władysław Huk, Kosów; Władysława Gajowa, Poznań; „Kade“, Drohobycz; B. Frączkiewicz, Warszawa; A. Fress, Wilno; Krystyna Lisówna, Dąbrowa Górnicza; Władysław Franta, Kraków; F. Łytkowska, Zawiercie; W. Kowalczewska, Wadowice; Barbara Morgenbesser, Łosniów; M. Wondraczek, Warszawa; Kazimierz Suchy, Brodnica; Helena Formejsterówna, Lublin; Dybał Franc, Andrychów; Jan Obtułowicz, Węgierska Górka; Marja Szuberowa Sambor, Tadeusz Wilczyński, Lwów; Władysław Boner, Lwów; M. Noskowiak, Gniezno; M. Niekraszówna, Wilno; E. Rozenberżanka, Brzeziny; Fr. Łukasiewicz, Wilno;; Michalina Wysocka, Warszawa; Piekosiński Apolinary, Prokocim; Wład. Lubońska, Siedlce; J. Puchowiczówna, Warszawa; S. Łosiewiczówna, Zduńska Wola; N. Ochs', Tarnopol; M. Fontana, Poznań; Z. Purzyński, Warszawa; M. Grabowska, Siedlce, T. Szeląg, Prokocim; L. Stempniewiczówna, Krotoszyn; A. Krzysztofowicz, Załucze; J. Kowalska, Warszawa; Wł. Czak, Kraków; F. Sidorowicz, Prądnik Czerwony; St. Kozioł, Kraków; Inż. J. Modrzejewski, Lublin; A. Langinger, Sambor; T. Czeppe, Wadowice.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Zofję Zgliczyńską, Inowrocław (zł. 50), Seweryna Szczepańskiego, Kraków (zł. 25), Michała Pietrusińskiego, Brześć n. B. (zł. 25), Juljana Darmasa, Łask woj. łódzkie (zł. 25).

Redakcja „Światowida prześle wyżej wymienionym gotówkę w najbliższych dniach.

CO SIĘ DZIEJE Z JAJAMI STRUSIEMI.



— *Słuchajno, czy nie wiesz, czy samica strusia także znosi jajka?*

— *Oczywiście.*

— *Dobrze, ale one przecież muszą się rozbić, gdy spadną z takiej wysokości.*

„ŚWIATOWID“ WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-162, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: ul. Nowogrodzka 26. Telefony 70-21 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.). 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

W SEZONIE FJOŁKÓW ALPEJSKICH.

